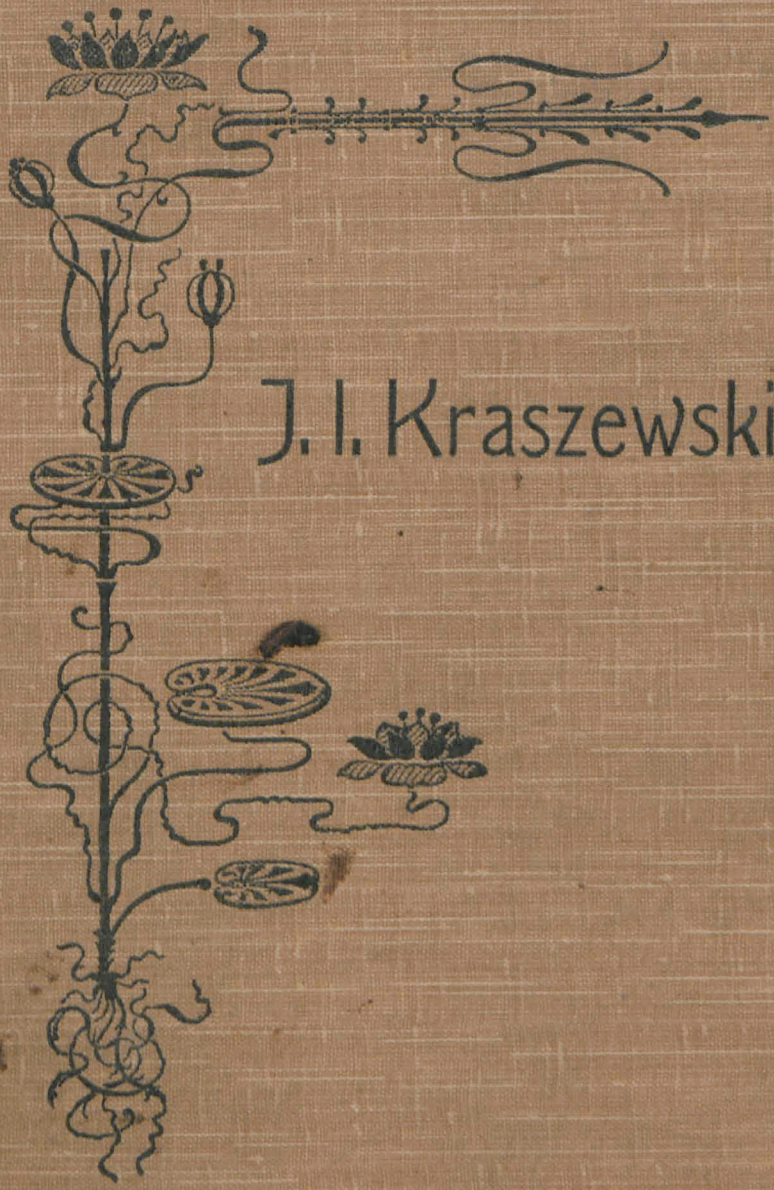

J. I. Kraszewski

BAJBUZA.

BAJBUZA.

(CZASY ZYGMUNTA III).

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Kraszewski

TOM I.

WARSZAWA.

1898

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Іюня 1898 года.

Muzeum J. I. Kraszewskiego
ROMA
Mel/M/ 326

PANI

STEFANII z SUŁKOWSKICH

KRASZEWSKIEJ

na pamiątkę odwiedzin d. 21 sierpnia przesyła

wdzięczny

J. I. Kraszewski.

I.

W pierwszej połowie grudnia 1586 roku, do dworu w Nadstyrzu, wioski dziedzicznej rotmistrza Iwasia Bajbuzy, po kopnej drodze, przebijając się przez zaspy śnieżne, podążał jeździec zakapturzony, któremu dwoje czeladzi konno towarzyszyło.

Zamieć wprawdzie była ustała, niebo się zaczynało wyjaśniać, ale drogi były tak przysypane śniegiem, który wiatr najdziwaczniej poroznosił i poskupiał, że nawet obeznanemu z niemi trudno było się pokierować. Okolica też nawpół poleska, zarosła, lesista, dzika wśród której małe tylko drożyny się przesuwały w różnych kierunkach, utrudniała rozpoznanie miejsca, a wiatr był jedyną wskazówką, że się nie zbiło na stronę i nie zbłąkało. Wioski i osady naówczas rozsypane bardzo i od siebie odległe, nie spotykały się na drodze, pora zaś trzymała ludzi po domach i na gościńcu nikogo spotkać nie było można.

Lecz podróżny na dzielnym koniu i dwaj jego towarzysze, obyci być musieli z podobnemi wędrówkami w różnych porach roku i mężnie posuwali się naprzód. Siwo jabłkowaty wierzchowiec pana, choć z niego para buchała, rwał się ochoczo naprzód.

Słudzy często spozierali na ziemię, gdzie wiatr

zwiał śniegi, aby się przekonać, że przynajmniej z drogi się nie zbili na bezdroże.

Wtem z za gałęzi lasu, z których śnieg opadał, ukazał się wysoki brzeg Styru, i na wzgórku drzewami otoczonym, dachy dworu wyglądające z za starego wału.

Zmęczonej czeladzi wyrwał się wykrzynik z piersi, a nawet sam pan mimowolnie zawołał jakby do siebie.

— Bogu dzięki! Nadstyrze!

Tak się zwała wieś rotmistrza Bajbuzy, w której on zamieszkiwał gdy nie był na wyprawie jakiej, na wojnie lub na usługach rzeczypospolitej i współbraci szlachcie.

Zdala, pod całunem śniegów, który wszystko pokrywał i kształty wszelkie zatarł, niewiele dworu w Nadstyrze widzieć było można.

Nie była to pańska rezydencya ani budowanie wytworne, choć pan jej mógł się nazwać bogaczem; niewiele dbano o powierzchowność w tych czasach; klecony wiekami, dobudowywany, przerabiany, dwór się składał z najdziwaczniej z sobą powiązanych izb, sal, komor i alkierzy. Ponad nim wysoki dach połamany, pogięty, z kominami olbrzymiemi, wznosił się tak nieregularny, jak budowa, którą pokrywał. Jedyną ozdobą jego były herbowne Bajbuzów strzały sterczące jako wietrzniki nad szczytami.

Dworzec zresztą, choć bardzo stary i poczerniały, trzymał się krzepko i dobrze, bo wzniesiony był z olbrzymich kłód dobieranego drzewa.

Dla pana rotmistrza, który żonaty nie był, starczył ten gmach, a dwór jego nie zbyt liczny i połowy izb pustych nie zajmował.

Zato te, które zamieszkane były, zdobiły sprzęty kosztowne, nagromadzone oddawna, i na próg wchodząc poznać było łatwo, że tu pański mieszkał dostatek.

Panem i dziedzicem Nadstyrza był naówczas Iwaś Bajbaza.

Rodzina, do której należał, nigdy żadnego ważniejszego nie zdobyła sobie stanowiska w hierarchii rzeczypospolitej i nie wypłynęła nad fale szlachty, do której się liczyła.

Nazwisko Bajbuzów brzmi jakoś dziko, z tatarska, choć od niepamiętnych czasów już je w księgach ziemskich zapisane znajdujemy. O pochodzeniu rodziny żaden heraldyk nie stworzył bajecznej legendy,

W chwili gdy się to opowiadanie rozpoczyna. rotmistrz, czynny pod Połockiem i we wszystkich Batorego wyprawach, ranny w jednem z oblężeń, zmuszonym był powróciwszy do domu, z ran się leczyć i wypoczywać.

Był to mężczyzna w sile wieku, może czterdziestoletni, ale ciałem i duchem młody jeszcze i krzepki. Ogromnego wzrostu, szerokich ramion, wydatnej piersi jakby do noszenia zbroi przeznaczonej, miał przytem niemal senatorską jakąś powagę, wyraz spokojnej, pewnej siebie siły i energii piętnował tę piękną męzką postać, której oblicze nie uderzało jednakże rysami zbyt wyszukanego wdzięku. Twarz była jakby dłutem mistrza zarysowana grubo i nie wykończona, ale ogół rysów harmonijną tworzył całość, a czasami, gdy w nią wstępowało życie, gdy wewnątrz ogień zapłonął, Iwaś Bajbuza stawał się majestatycznym, posągowo pięknym.

Takim on bywał, gdy szedł do szturmu, lub z kopią na koniu łamał nieprzyjacielskie szeregi.

W życiu powszechnym powolnym był, rozważnym, pamiętnym na siebie, jak gdyby czuł, iż jakieś kapłaństwo w sobie nosił.

Łagodny i dobry nie dawał się z sobą zbytnio spoufalać, ani męzkiej swej dostojności, chwilowem nawet roztargnieniem podawać w wątpliwość. Rycerz był czuwający nad sobą zawsze.

Wobec tych. którzy na świeczniku stojąc blaskiem swym zaćmiewać chcieli, spotykając dumę i nadętość, Bajbuza rósł i wcale się zatrzeć nie dawał.

Równy wojewodzie stało zapisane na jego twarzy i w całym człowieku. Do pokornych chętnie się zniżał, jeżeli pokora nie była kłamaną, przed pyszałkiem nigdy się nie spłaszczył

Po ojcu i matce, z domu kniaziównie Kurcewiczównie, która reszty fortuny niegdyś znacznej wniosła w rodzinę Bajbuzów, Iwaś odziedziczył posiadłości ogromne. Nie mówiąc o przestrzeniach ziemi, których obwód na mile się liczył i zajmował znaczną część pogranicza między Wołyniem a Polesiem; skarbiec Bajbuzów, którego nikt nie znał, wedle powszechnego rozgłosu, miał w sobie zawierać korcami mierzone srebro i złoto i całe pereł skojce.

Niczem było dla rotmistrza wystąpić w kilkadziesiąt koni, których same siodła i rzędy od srebra i złota tysiącami szacowano. Izba jedna pełną być miała naczyń srebrnych i pozłocistych, które na podarki przeznaczone były. Futer też, jedwabiów, szkarłatnego sukna, opon, kobierców, oręża drogiego i osobliwego zliczyć nie było można.

Tak opiewali ludzie, co do inwentarzów zajrzeli.

Pomimo tych zasobów pańskich, Iwaś Bajbuza prowadził życie szlacheckie, bardzo skromne, co było powodem, że go skąpym nazywano.

Był zaś w istocie szczodrym bardzo, gdy szło o dobro ogólne, o sprawy rzeczypospolitej lub o dobry uczynek.

W owych czasach przywiązywano wielkie znaczenie do dworów, któremi możni się otaczali, a były one do zbytku obsadzone i liczne. Nie mógł się i Bajbuza obejść bez komorników, dworzan, hajduków, czeladzi, ale stosunkowo ograniczał się likiem ich niebardzo wielkim. Dobierał za to ludzi, a gdy na wojnę szedł, z własnej woli, na swym koszcie prowadził najmniej sto głów takiego żołnierza, iż lepszego nie miał nikt.

Zdala na Iwasia Bajbuzę patrzący, ci co o nim coś słyszeli, nawet tacy, co się o niego kiedy niekiedy ocierali, nie obcując ciągle, fałszywe sobie o nim wyrabiali pojęcie. Jedni go dumnym, drudzy mienili skąpcem, inni mieli za postrzelonego dziwaka. W istocie pospolitym ludziom trudno było sobie jasno wszystkie jego wytłómaczyć czynności.

Lepiej go sądzili ci, co od młodości na niego patrzyli.

Iwaś ojca, człowieka rycerskiego, ale nie odznaczającego się nadzwyczajnemi przymioty, utracił był bardzo wcześnie. Pozostała mu opiekunką matka, niewiasta rozumna, wielkiego ducha, i brat jej; ubogi, sterany na wojnach, zamęczony pieniactwem chorąży Semen kniaź Kurcewicz, który na łasce siostry, przy niej osiadłszy, był jej pomocą w gospodarstwie i interesach.

Jejmość jednakże posługując się nim, zwierzchnię komendę zachowała przy sobie.

Pani starościna Genowefa z kniaziów Kurcewiczów Bajbuzina, przywiązana do jedynego syna, którego przyszłość wyobrażała sobie nader świetną, z jednej strony usiłowała mu mienia przysporzyć, z drugiej tak go wychować, aby panem być umiał. Żyła tylko w tem dziecięciu.

Los szczęśliwie bardzo nastręczył jej do pokierowania wychowaniem Iwasia niepospolitego człowieka, który wpływ niezmierny wywarł na swego wychowańca.

Był to ubogi potomek, odszczepionej gałęzi możnej rodziny pruskiej, w początkach żołnierz zamłodu, później żarliwy reformator i wittemberczyk, czynny w kołach dyssydentów, nakoniec na wrócony na katolicką wiarę, duchowny.

W tej sukni już dostał się Wejher do domu, w którym jako przyjaciel do śmierci przemieszkiwał.

Niepospolicie uczony, zamiłowany w nauce natchnął wychowańcowi upodobanie w poważnych zajęciach, chociaż natura go więcej na żołnierza stworzyła. Skutkiem wpływu Wejhera, duch rycerski

połączył się w Iwasiu z miłością nauki, tak samo, jak w Zamojskim, który obok tytułu hetmana, chlubił się swem rektorstwem padewskiem.

Przejście przez ogień reformy, jak nie pozostało bez skutku na Wejherze, tak się i na uczniu jego odbiło. Wiara jego była oświeconą i gruntowną.

Po śmierci tego nauczyciela, który w końcu przyjacielem był tylko i bratem, Bajbuza sam już łódką swoją kierował. Kniaź Kurcewicz zmarł był wkrótce, a i matka doczekawszy się zaledwie, że syn już lat doszedł młodzieńczych, odumarła go sierotą.

Z raz obranej drogi Bajbuza nie dał się już sprowadzić, poszedł nią dalej. Uczył się potroszę, potrosze wojował, wpraszając ze swym oddziałem ochotników, gdzie tylko o szczęku oręża zasłyszał.

Panowanie Batorego było dla niego doskonałą szkołą, a Zamojski wzorem. Czasu wojny natychmiast śpieszył do szeregów, a gdy na granicach pokój panował, wracał do domu i bawił się myślistwem i książkami.

Do tych cech, które go w oczach ludzi czyniły dziwakiem, liczyła się główna, iż co tylko kraj obchodziło, co było interesem rzeczypospolitej, do tego się natychmiast ofiarował na usługi. Nie żądany i nie powoływany biegł ochotnikiem jak na wojnę.

Pospolici ludzie widzieli w tem chętkę odznaczenia się, mającą go poprowadzić na krzesło senatorskie, do wyższych dostojeństw—ale Bajbuza nigdy się nie ubiegał o nie. Że zaś zawsze o każdy wakans starało się kilku takowych, tak, iż opędzić się im było trudno, Bajbuza przeciwnie żadnych nie czynił zabiegów i parę razy nawet Zamojskiemu powiedział, że urzędów nie pragnie, a nagród nie potrzebuje, pozostawiono go na stronie, dziwiąc się tylko tej dumnej obojętności człowieka, który swym tytułem rotmistrza zupełnie był zaspokojony.

Nie widywano go nigdy na dworze polnjącego

wakanse, które się zjawiały, ale na wieść o potrzebie, o wojnie, Bajbuza stawał pierwszy.

Tem on sobie pozyskał miłość Batorego zaufanie i przyjaźń hetmana kanclerza, który go innym za wzór stawił. Był mu zaś tem sympatyczniejszym, że razem z nauczyoielem swym Wejherem długo kręcąc się po Włoszech, przesiadując w Padwie, ucząc po różnych uniwersytetach, miał to humanitarne ówczesne wykształcenie, które najwyżej stawiło człowieka.

Zamojski śmiejąc się czasami tylko wyrzucał mu brak ambicyi, dowodząc, że ona też jest człowiekowi potrzebną, bo pole jego działalności rozpiera.

Bajbuza dotąd jednak postępowania swojego nie zmienił.

Tak do lat niemal czterdziestu dożywszy Iwaś, można było powiedzieć, kobiet nie znał prawie i widywał je tylko zdaleka. Pamięć matki dawała mu o nich wysokie wyobrażenie. O ożenieniu nie miał czasu pomyśleć dotąd, i żadna z dzieweczek, które po świecie spotykał, wielkiego na nim nie czyniła wrażenia. Wszystkie zarówno wydawały mu się miłe i powabne, ale go ku sobie nie pociągały. Pierwsza, którą się zajął żywiej nicco, była młodziuchna wdowa po jednym z kniaziów Sanguszków, rodem wielkopolanka, piękna jak obrazek, wykształcona, stateczna i właśnie takiego charakteru, który na Bajbuzie najsilniejsze mógł uczynić wrażenie.

Zmarły mąż jej, chociaż do możnej należał rodziny, nie zostawił jej po sobie nic oprócz bardzo skromnego dożywocia, ona sama posażną nie była. Książęcy tytuł więc niemal jej ciężył przy bardzo szczupłym majątku, z którym się nie taiła, wesoło znosząc prywacye, na które była narażoną.

Była to kobieta wielkiego charakteru i energii niepospolitej. Wszelkie fałsz i udawanie były jej wstrętnemi, zastosowywała się więc do tej mierności, jaka jej przypadła losem, zamknęła na wsi i nie starała po książęcemu występować.

Bajbuza spotkawszy ją po raz pierwszy w kościele, naprzód uderzony był niemal dziewiczym wdziękiem postaci księżnej, która nie miała nad lat dwadzieścia i łączyła w sobie urok młodości z powagą matrony. Skromny jej dwór był także na owe czasy zjawiskiem uderzającem.

W sąsiedztwie później Iwaś na jakichś imieninach obchodzonych uroczyście bliżej ją poznał i bardzo sobie upodobał. Nie widywano nigdy tak długo i wesoło zabawiającego się z kobietami, których unikał dotąd. Przyjaciele natychmiast wróżyć zaczęli, że się o nią starać będzie, ale zawiedli się w oczekiwaniu.

Iwaś przyznawał, że mu się podobała, ale otwarcie mówił, że o ożenieniu nie myślał, wiele wymagając od niewiasty, którejby dał imię swe i uczynił ją dożywotnią towarzyszką. Księżna także okazując mu życzliwość, nie zdawała się chcieć go pociągać ku sobie, bo wcale zalotną nie była. Zawiązała się przyjaźń jakaś spokojna, z której śmiano się potroszę, bo jej nie rozumiano.

Bajbuza głośno powtarzał, że dotąd do stanu małżeńskiego nie czuł wcale powołania. Kiedy niekiedy odwiedzał księżnę i mile spędzał u niej godzin kilka, w obcych domach spotykając się z nią, wyróżniał i chętnie się przysiadał na długie rozmowy, ale w końcu nawet najłakomsi na plotki, przestali wróżyć, aby coś z tego być mogło.

— Ambitny jest—mówiono—chce mu się wielkiego majątku i mienia razem.

Kobiety zarzucały księżnie Teresie, że nie umiała pociągnąć ku sobie bogatego sąsiada, i że każda inna w jej miejscu głowęby mu zawróciła.

Stosunki dobrej przyjaźni trwały tak nierozerwane, a co dziwniej, wdowa, która miała wielu starających się o jej rękę wdowców majętnych, odpowiadała wszystkim, że za mąż iść nie myśli. Życie jej

upływało nad krosienkami i wśród małego fraucymeru szlacheckich dzieweczek, które wychowywała.

Po wyprawie na Połock, na Wielkie Łuki, powróciwszy rannym do Nadstyrza, Bajbuza jak tylko zdrowszym się czuł, pośpieszył przypomnieć się sąsiadce, która go przyjęła bardzo serdecznie, ale ani on, ani ona nie zmienili nic we wzajemnem postępowaniu.

Zapytywany czasem żartobliwie Iwaś, którego przyjaciele księżną prześladowali, nie odpowiadał na to wcale, ani się bronił, ani chciał przyznać, ażeby miał co na myśli.

Przedewszystkiem żołnierz, przewidywał on dalsze prowadzenie wojny jako nieuchronne, nie wierząc w powodzenie zabiegów Possewina, i na nowo się wyprawy gotował. Gdzież mu było myśleć o ożenieniu!

Nie przeszkadzało to odwiedzin i przesiadywaniu u księżnej Teresy, ale zawsze zabierał kogoś z sobą, aby ludzkim złym językom nie dać siebie i jej na pastwę.

Księżna Teresa powtarzała ciągle głośno, że za mąż iść nie myśli, i po staremu byli dobrymi przyjaciółmi, nic więcej.

Tylko starzy i wytrawni ludzie poruszając głowami szeptali, że prędzej później musi się to skończyć u ołtarza.

Takie było położenie Iwasia Bajbuzy w chwili, gdy chorąży Szczypior dobiwszy się do Horodyszcza w Nadstyrzu, otrząsnąwszy ze śniegu, zapytał starego sługę, który wychodził na spotkanie, czy zastał rotmistrza w domu.

— A gdzieżby na taki czas mógł się ruszyć?— odparł staruszek — taż to od dwóch dni taka była wiuha, że nosa na podwórze nie wytknąć.

Zabrano natychmiast ludzi i konie do gościnnych stajen; a Szczypior nie przebierając się, jak stał, zwierzchnią tylko opończę zrzuciwszy, za przewodnikiem do sypialni Bajbuzy pośpieszył, który tak daleko od wjazdu w zacisznym siedział kącie, że

gościa ani zobaczyć, ani posłyszeć nie mógł przybywającego.

Chorąży Szczypior był mniej więcej w wieku Bajbuzy, ale powierzchowności wcale odmiennej, mały, krępy, muskularny, gorączkowych ruchów, krzykliwego głosu, zamaszysty, rubacha, żołnierz jednem słowem który więcej w obozach i taborach, niż po pałacach i dworach zwykł się był obracać.

Ale za to był to żołnierz jakich mało, rozmiłowany w swem rzemiośle, odważny, doświadczony, przezorny. Nauki nie miał wcale, ale z życia zaczerpnął dużo, i w trudnych razach miał instynkta nadzwyczaj szczęśliwe.

Jak wszystka szlachta owych czasów, Szczypior więcej był winien obcowaniu z ludźmi, niż szkolnemu wychowaniu i księgom. Uczono się naówczas z żywego słowa nie z karty, i dlatego dziś tyle w przeszłości pozostało tajemnic, bo ich nikt nie czuł potrzeby zapisywać, jako rzeczy powszechnie znanych, dziś niepowrotnie zatraconych.

Otwartej głowy, wesołego humoru chorąży, jak wielka większość szlachty znał trochę historyi, łacinę rozumiał i przysłowiami jej się posługiwał, zresztą papierami i piórem się brzydził.

W obejściu się żołnierska jego prostota, charakter szlachetny, otwartość, czyniły go miłym Bajbuzie. Zapraszał go do siebie, obcował z nim jak z bratem, a potajemnie pomagał mu wiele, bo Szczypior oprócz wioszczyny gdzieś na Białorusi, nie miał nic.

Zobaczywszy go w progu Bajbuza, zakrzyknął nawpół uradowany, wpół zdziwiony.

— A toś ty mi z nieba spadł!

I obie ręce wyciągnął ku niemu.

— Bóg zapłać, bo w taką zamieć puścić się w podróż, na to potrzeba Szczypiora!

Chorąży witał się, ale daleko mniej raźnie i wesoło niż był zwykł; spojrzeli sobie w oczy: Bajbuza się domyślił, że mu przyniósł coś złego.

— Co ci to, Szczypior! zmarzłeś, koń ci padł na drodze? mów — zawołał.

— A! bodajby mi wszystkie lepiej pozdychały— westchnął chorąży ponuro. — Nie ma co żartować!

— Na Boga, cóż się stało? — podchwycił Bajbuza niespokojnie.

— Największe nieszczęście, jakie nas wszystkich spotkać mogło! — odparł Szczypior.

— Miłosierny Boże! — łamiąc ręce podchwycił Bajbuza i zwiesił je bezsilne — mów...

— Król! król nasz umarł! — wybuchnął głosem jakby ze łkaniem pomięszanym Szczypior.

— Król! król! — odstępując na krok powtórzył rotmistrz. — Nie do wiary!

— Niestety! — przerwał Szczypior, podchodząc machinalnie ku kominowi — prawda to Bóg Bogiem. Nie ma go! Smutna ta wiadomość obiega już całą rzeczpospolitę i lada chwila byłaby do was doszła.

Bajbuza stał jak osłupiały.

— To cios!—zawołał.—Silny, zdrów, nie stary! Cóż mu się stało?

Chorąży ramionami poruszył.

— Bóg wie jeden, ale fama głosi powszechna, że go otruto. Było przy nim lekarzy dosyć—mówił dalej — ani na włocha Buccellę, ani na Simona podejrzenia nie ma, bo ciby byli własne życie dla niego dali, ale kto zaręczy, że wśród tych, co go otaczali, zdrajców nie było, przekupionych przez Zborowskich i rakuskich praktykantów. Struli go, pewnie struli!

Bajbuza się wzdrygnął cały.

— A! ci Zborowscy! — zgrzytnął — jeszcze z nimi nie ma końca!

— Mnie się widzi to dopiero początek, teraz dopiero wichrzeć zaczną — mówił Szczypior. — W całym kraju wszystko się burzy i rusza, jak gdyby spiskowi na to hasło tylko czekali. Już słyszę Górka, Czarnkowski i co ich tam jest rakuszan zbierają żoł-

MUZEUM JIK POMANOWIE
326

nierza, zwołują zjazdy. Jeszcze zwłoki nie zastygły, a już czuć, że go nad nami nie ma.

Wtem Bajbuza krzyknął z gwałtownością, która rzadko brała nad nim górę.

— Zamojski!

— Nie zaśpi on pewnie — rzekł Szczypior — i jako hetman będzie miał z kim przeciwko nim wystąpić, ale doczekamy się wojny domowej, gdy nieprzyjaciel zewsząd czyha. Rakuszanin z tego skorzysta.

Posępnie zamyślił się Bajbuza i w tem milczeniu przeszedł razy parę po izbie.

— Nie ma tu co rozmyślać — rzekł - powinność wskazuje koło Zamojskiego się gromadzić, kto Boga ma w sercu. Doma siedzieć nie pora.

Obrócił się ku Szczypiorowi.

— Nie wiesz, gdzie się hetman znajduje?—spytał.

— Nie wiem. Wiadomość o śmierci króla zastała mnie u krewnych na Litwie, zbiegłem do was, aby się naradzić i dać wam znać.

— Niech Bóg płaci! — powtórył parę razy Bajbuza. — Myśleć tu nie ma co, około hetmana zbierać się potrzeba. Cesarscy ani chybi już się koło Górki i Zborowskich kupić muszą. Nie wiem czy Gody (Boże Narodzenie) w domu można będzie pozostać. Sejm rychło Karnkowski zwołać musi, aby co prędzej o elekcyi postanowił, a na sejm wszystkie się warchoły zbiegną, nam też tam potrzeba być.

Wiadomość tak jak piorun padła na Bajbuzę niespodzianie.

— Nie może to być — wołał — aby śmierć była naturalną, grozili mu i oddawna się sposobili zgładzić go ze świata. Zobaczycie, że Zborowski Krzysztof natychmiast się tu znajdzie, choć banitą jest.

— Słyszałem po drodze, że on i Andrzej już ze Szlązka przybyli i publicznie się ukazują, przeciwko hetmanowi odgrażając—rzekł Szczypior.—Nie wątpię, że i hetman znajdzie ludzi, ale rakuszanie wcześniej

się gotowali niż on, co pewnie tak nagłego nie przewidywał zgonu.

Karnkowski z nimi trzymać będzie, a to *interrex*.

Bajbuza zacisnął usta.

— Gdzie król zmarł? — spytał

— W Grodnie — rzekł Szczypior.—Małoco chorzał nawet, a teraz się medycy za łby biorą, kto winien. W tem jest ręka złoczyńcy!

Bajbuza stał jeszcze pogrążony w sobie, rękę wyciągnął ku chorążemu i położył mu ją na ramieniu.

— Słuchajno — rzekł — struli go zbóje czy nie, Bóg jeden wie, ale my tego nie powinniśmy ani przypuszczać, ani głosić, nawet przeciwko Zborowskim, bo warchoły są, ale bracia nasi i dzieci tej ziemi. Srom z nich padłby na naród. Wiem, że oni popełnić to mogli, niech ich Bóg sądzi, my milczmy. Gdybym na miejscu hetmana był, możebym tak ściąć kazał Samuela jak on, dla postrachu i grozy, ale o truciznę i morderstwo kryjomebym ich nie oskarżał.

Szczypior słuchał z uwagą. Wierzył on tak w rozum Bajbazy, że na ślepo szedł za nim, zamikł więc, a rotmistrz ciągnął dalej.

— Łacno przewidywać, co nastąpi: Zamojski pewnie którego z Batorych na tron forytować będzie, a szlachta się wilczych zębów boi i nie zechce ich; królowa poprowadzi siostrzeńca, królewicza szwedzkiego, rakuszanie Maksymiliana lub cesarza.

Więcej już nie wiem kogoby można obierać. Zechcą Piasta, mojem zdaniem, Zamojski jeden godzien po Batorym panować, ale oni jego nie zechcą, ani on nie zechce. Nadto ma nieprzyjaciół.

Mówił to chodząc Bajbuza, gdy w progu ukazał się w czarnej sukni, słusznego wzrostu, chudy i blady księżyna, który nizkim pokłonem kollatora witał.

Z twarzy jego wyczytać było można, iż już smutną wiedział nowinę. Załamał ręce.

— Król umarł! — szepnął — o! my nieszczęśliwi. Dyssydenci głowę podniosą, a w kraju znowu nie

będzie spokoju. Biada domowi podzielonemu i rodzinie rozprzężonej. Co nas czeka? panie rotmistrzu, co nas czeka?

Bajbuza się uśmiechnął smutnie.

— Ciężka chwila do przebycia — rzekł z powagą wskazując księdzu krzesło — ale się wątpić nie godzi o miłosierdziu Bożem. Mamy przecie kanclerza, a około niego skupią się ludzie poczciwi.

Wtem proboszcz, ksiądz Poklatecki, zwrócił się do Szczypiora.

— A to wy, panie chorąży, przywieźliście nam wieść tę straszną? — zapytał. — Powiedzcież nam co więcej? O chorobie króla nie słyszeliśmy.

— Krótko też chorzał — rzekł chorąży, który już z trucizną nie śmiał wystąpić. — Miał aż dwu lekarzy przy sobie, którzy się dziś spierają, jak go leczyć było potrzeba.

— Stała się wola Boża — przerwał Bajbuza. — Zarządźcie księże proboszczu nabożeństwo żałobne za duszę pana. Nam trzeba myśleć, abyśmy corychlej innego sobie obrali i w bezkrólewiu, a bezładzie nie trwali.

— A! biedna królowa!—westchnął proboszcz — po Henryku była słomianą wdową, po tym też przyszło jej żałobę nosić, a teraz patrzeć będzie musiała na nowego pana, któremu się jej pokłonić każą może...

— Kto wie, czy siostrzeńca jej nie wybierzemy?—odparł Bajbuza.—Jagiellońska w nim krew płynie, a połączenie ze Szwecyą nie od rzeczy dla nas, bobyśmy Moskwie z nią łacniej czołostawić mogli.

— Królowa Anna—odezwał się ksiądz—już go dwakroć przecie całemi siłami na tron forytowała, a nie powiodło się jej, miałażby być teraz szczęśliwszą?

— Być może — zawołał Bajbuza. — Naówczas młody Zygmunt miał lata niepełne, dzieckiem był, dziś dwudziestu dochodzi, jeżeli się nie mylę i z pomocą Zamojskiego rządzić potrafi.

— Ale czy Zamojski go zechce?—rzekł Szczypior.

Nikt nie odpowiedział na to.

— Stolica Apostolska — odezwał się wzdychając proboszcz — nieochybnie rakuszanina popierać będzie. Ma on zwolenników wielu, ale i nieprzyjaciół niemało.

— Burzliwa będzie elekcya — dodał Bajbuza — dlatego kto żyw, a Boga w sercu ma, jechać na nią powinien i stawać w szeregach, bo warchoły nie zaśpią...

— Pamiętajcież ino — wtrącił ksiądz — aby znowu królowi na Henrykowskie artykuły przysięgać nie kazano. Dacie wy *pacem dissidentibus*, ale oni wam go nie dadzą, a wezmą-li górę, przepadnie wiara, kościoły i z nimi rzeczpospolita, której tyle żyć, póki Rzymu córka jest.

Bajbuza milczał trochę.

— Mój ojcze—rzekł—przebaczcie mi odmienne zdanie. Lepiej jest dyssydentom pokój zaprzysiądz, niż im wypowiadać wojnę. Nie ma u nas dla nich sposobnej roli, posiane nie zejdzie ziarno, a gdy zaczniemy nękać ich, wywołamy siłę, którą wszelka przemoc rodzi.

— Rotmistrzu? Wy za dyssydentami! — zawołał proboszcz—uszom mi się wierzyć nie chcę.

Bajbuza się uśmiechał.

— Nie, ojcze mój - rzekł - aleśmy wzorem Batorego postępować powinni. Żydom synagogi budować pozwalamy, niech i zbory stoją spokojnie. Nie pójdzie do nich nikt, dopóki do nich ucisk nie pociągnie.

Ksiądz głową poruszył.

— Zgubne to pobłażanie—szepnął — bo oni go dla nas nie mają, a zuchwali są.

— My się im obronimy — odparł Bajbuza — ale tymczasem nie o dyssydentów sprawa idzie, Zborowscy nam pokoju nie dadzą, z tymi się naprzód rozprawić należy.

— Dyssydenci właśnie w ich się znajdą obozie — przerwał proboszcz.

— Tem gorzej dla nich — rzekł Bajbuza.

Przez chwilę milczeli zadumani, ogień tylko trzaskał na kominie.

— Bóg łaskaw — odezwał się w końcu gospodarz — róbmy, co naszym obowiązkiem, resztę na Niego zdajmy. U mnie—dodał—od dziś dnia wszystko na wojennej stopie; ludzi zbierać każę, a jak skoro będą gotowi, puszczę się albo do hetmana, lub do p. Stanisława Żółkiewskiego, aby czynnym być i rakuszaniana nie dopuścić.

Nie zechce szlachta Batorego z obawy, aby zbyt surowym nie był, poprowadzimy szweda, którego królowa niemal jak własne dziecko zdawna ukochała. Byle nam ks. Karnkowski szyków nie mięszał.

Zwrócił się gospodarz do proboszcza.

— A wy, ojcze, módlcie się gorąco do Boga, aby rzeczpospolitę z tej toni wyratował i królowi wielkiemu godnego naznaczył następcę. Szczypiorze kochany — zwrócił się do starego towarzysza — ty za mną...

I uścisnął go w milczeniu.

II.

Ostra w początkach zima, złagodniała w końcu stycznia. W Nadstyrzu wszystko już było w gotowości do ciągnienia, ale też nadchodzące tu wiadomości czyniły je obowiązkiem. To co w pierwszej chwili przywiózł z sobą Szczypior, w zupełności się potwierdzało. Nikt nie przypuszczał nawet, aby Zborowscy pognębieni śmiercią Samuela i banicyą

Krzysztofa na siły takie zdobyć się mogli; i nie zebraliby ich, pomimo przyjaciół swych, gdyby nie pokrewieństwo z wojewodą poznańskim, a jego niechęć i zazdrość zastarzała przeciwko Zamojskiemu.

Hetman i on żartobliwie się niegdyś przezywali, pierwszy rektorem padewskim, drugi wittembergskim, dziś nienawiść Górki śmiercią Samuela podniecona nie znała granic, a miał ze sobą nietylko całą Wielkopolskę, ale mnogich nieprzyjaciół hetmana i dyssydentów, którzy go za głowę i wodza swego liczyli.

Na pierwszą wieść o zgonie Batorego ruszyło wszystko, co żelazna jego ręka dotąd w pozornym pokoju trzymała, żywioły niespokojne i burzliwe podnosiły się gwałtownie. Oprócz Górki, stary, schorzały arcybiskup gnieźnieński Karnkowski jawnie brał stronę przeciwników hetmana, do którego nawet list wysłał, radząc mu, aby się nie pokazywał na sejmie. Szło o sprawę Zborowskich, którzy nie zważając na to, iż prawo sejmowi konwokacyjnemu o niczem więcej stanowić nie dopuszczało oprócz terminu elekcyi, chcieli co najprędzej zrzucić z siebie wywołanie i wrócić do praw, jakie im odjął wyrok Batorego.

Nie zważając na to, czy Zamojski na sejm przybyć zechce lub nie, Bajbuza gotował się stanąć przy Żółkiewskim, lub połączyć z tym obozem, który stronę Zamojskiego miał trzymać.

Ludzie już się ściągnęli do Nadstyrza, a Iwaś niecierpliwił słysząc o tem, co się działo na świecie, gdy on tu siedział z założonemi rękami, aż jednego dnia zawołał na Szczypiora.

— Chorąży? jadę księżnę Teresę, sąsiadkę moją łaskawą pożegnać; nie uchodzi, abym cię z sobą nie wziął. Zobaczysz taką kobietę, powiadam ci taką, jakiej drugiej ani ze świecą, ani z pochodnią nie znaleźć.

— O! ho!—przerwał Szczypior — to mi dopiero niewiasta, kiedy wy to o niej mówicie.

— Rychło i wy to powtórzycie za mną — rzekł

rotmistrz—odziejże się szykownie, sanki zajdą i pojedziemy.

Szczypior był ciekawy, bo nigdy nic o księżnie nie słyszał.

— Stara, młoda? — spytał.

— Młoda i piękna—rzekł Bajbuza—ale mogłaby być starą i brzydką, a potrzeba przed nią bić czołem.

— Aż mi strach! — rozśmiał się Szczypior — alem ciekawy.

Parę mil od Nadstyrza było do Nadługów księżnej. Szczypior nie chciał wierzyć, że do rezydencyi księżnej zajeżdżali, gdy sanki ich przez wysoką, starą, krytą bramę wtoczyły się na dziedziniec i przed prosty dwór szlachecki, około którego cicho było i mało ludzi się kręciło.

Stary sługa w wyszarzanej sukni długiej ciemnoburakowego koloru przywitał ich w progu i zaraz do izby wielkiej wprowadził, gdzie zastali księżnę nad krośnami, której młode dziewczę z książki coś czytało. Mieszkanie było skromne, ale wyszukanej czystości i woniejące świeżością jakąś.

Księżna Teresa wstała uradowana na powitanie sąsiada, który jej przyjaciela przedstawiał.

— Przyjechaliśmy pożegnać księżnę panią — rzekł — i dopraszać się błogosławieństwa.

— Dokąd? na wojnę? — zapytała żywo.

— Tak dobrze jak na wojnę i gorzej niż na pohańca—odparł Bajbuza—bo na Turka idąc, serce się raduje, że się wojować będzie z nieprzyjacielem krzyża świętego, a my może z braćmi się bić będziemy musieli.

— Nie dopuści Pan Bóg — westchnęła wdowa, w którą Szczypior oczy miał wlepione jak w obraz cudowny.

Począł tedy przybyły gość rozpowiadać, co się święciło, a księżna go z wielką słuchała uwagą. Szczypior milczał. Przyniesiono wino i słodycze.

— Mościa księżno—żartobliwie odezwał się rotmistrz — radbym zawczasu wiedział, za kim wy będziecie na to królestwo, abym i ja z nim był.

Rozśmiała się gosposia.

— Ale ja, panie rotmistrzu—odparła—nie spełna wiem nawet, kto staje na kandydata, a temu życzyć będę korony, kto ją godnie Batorego nosić będzie. Któż się do niej swata?

— Że nie braknie Piastów i obcych, to pewna—mówił Bajbuza—ale najbliższy jest siostrzeniec królowej i Rakuszanin. Zgłaszają się i Batorowie, a bodaj w. kniaź moskiewski.

— A wy z kim będziecie?—spytała księżna.

Ruszył ramionami rotmistrz.

— Wierzę w rozum i poczciwość Zamojskiego—rzekł—z nim pójdę na ślepo, a to znaczy, że w żadnym razie nie z rakuszany trzymamy, bo tych Zborowscy są.

Gdy to mówili, Szczypior patrzał a patrzał na księżnę, nie mogąc od niej oczu oderwać. Wyobrażał ją sobie i piękną i miłą, kiedy Bajbuza tak ją wielbił, ale taką jaką ujrzał, wcale się nie spodziewał zobaczyć.

Księżna była właśnie w tym wieku najświetniejszego rozkwitnienia, gdy kobieta jest w całej swej piękności potędze. Złotego włosa, wielkich oczu niebieskich, biała, z płcią nadzwyczaj delikatną, średniego wzrostu, kształtna, instynktowo ruchy mająca pełne uroku, choć zalotną nie była, dla Szczypiora wdowa wcielała ideał kobiety, o jakiego istnieniu nawet nie marzył.

Oniemiał też na widok jej, osłupiał i siedział zapatrzony tak, że się śmiesznym mógł wydawać. Potrzebował trochę czasu, nim wyszedł z tego upojenia i do rozmowy się mógł wmięszać.

Był najmocniej teraz przekonanym, że rotmistrz być musiał do ręki wdowy pretendentem.

Ona tymczasem z nim wiodła swobodną, wesołą i spokojną rozmowę, ule Szczypior w niej

próżno szukał choćby cienia jakiegoś porozumienia i uczucia.

Oboje teraz z kandydatów do korony wybrali zgodnie Zygmunta.

— Należyć się choć to zadośćuczynienie ostatniej z Jagiellonek—mówiła gospodyni—tej biednej królowej, którą za życia rodziców w kąt zasuwano, za życia brata na uboczu trzymano, po wyborze Henryka osadzono na koszu, a ze Stefanem połączono tylko dla ceremonii. Słyszałam i wiedzą wszyscy, że kocha Zygmusia jak syna, że sobie wizerunki jego posyłać każe. Na jej może intencyę po polsku go uczono. Pobożnym być ma i statecznym, młodym jest, do kraju się przywiąże, bierzcie go!

— Jam gotów!—zawołał rotmistrz—a za przyjaciela Szczypiora ręczę, że tak głosować będzie, jak mu księżna każe.

— Zarumieniła się wdowa mocno.

— Tak, chorąży wedle mego życzenia, a wy, rotmistrzu? przeciwko memu życzeniu?—poczęła żartobliwie.

— Ja nie wiem—rzekł spokojnie rotmistrz—ale za to ręczę, że przeciwników jeśli się poważą nam chcieć gwałt zadać, będziemy tłukli nie patrząc, czy trafimy na ślepotę Czarnkowskiego, czy na niecnotę rakuszan.

Tak cały ten czas odwiedzin upłynął na bardzo ożywionej rozmowie i goście odjeżdżać mieli, gdy ich jejmość wstrzymała na wieczerzę, ale Bajbuza zostać nie mógł. Spodziewał się Wąsowicza w domu.

Na żart poklękali prosząc o błogosławieństwo, a Szczypior domyślając się, że imby może było milej sam na sam chwilę pozostać, wysunął się zaraz. Rotmistrz zatrzymał się jeszcze.

— Mościa księżno—rzekł rękę jej trzymając—bardzo mi tęskno będzie na długo Nadstyrze opuszczać, nie dla niego, ale dlatego, że w. książęcej mości widzieć nie będę.

— A dlaczegóż to ma trwać tak długo?—zapytała z prostotą księżna Teresa.

— Bo z tego co wiem, na rychłą się nie zanosi elekcyą—mówił Bajbuza—potem nie zaraz pokój nastąpi. Będziemy musieli z p. hetmanem stać na czatach.

Westchnął.

— Dobra to rzecz—dodał—mieć tak miłą sąsiadkę na siebie łaskawą, ale się człowiek do niej przyzwyczaja a potem tęskni.

— O!—odpowiedziała żywo księżna—nie prawcie mi słodyczy, jam do nich nie nawykła i nie smakuję w nich. Niech Bóg was szczęśliwie prowadzi i odprowadza.

Pocałował ją w rękę, spojrzeli sobie w oczy. Któż wie? może gdyby nie Szczypior, powiedziałby coś więcej, ale musiał zagryźć usta, skłonił się i wyszedł smutny.

Siedli do sanek.

— A co?—zapytał rotmistrz.

— Nie mam co mówić — zamruczał chorąży — pani jest osobliwej piękności i rozumu, więc wam tylko powinszować.

Rozśmiał się Bajbuza.

— Mnie? czego?

— A no!

— A no czego?—naglił rotmistrz.

— Juści ona wasza!—dodał chorąży.

— Tak samo jak waszmości—odpowiedział Bajbuza. — Adoruję ją, to prawda, alem jej nie śmiał powiedzieć słowa i nie czuję się takiej niewiasty godnym.

Warchoł i ja jestem — dodał wzdychając — bo my polacy ze krwi jesteśmy warchołami, z tą tylko różnicą, że jeden dla złego, drugi dla dobrego warcholi. Spokojnie żyć, powoli iść nikt z nas nie umie, rwiemy z kopyta. Godziż się kobietę narażać na to, aby nasze ciężkie podzielała losy?

Ja też w sobie czuję, że spokojnie Boga chwalić na Nadstyrzu nie będę. Korci mnie zawsze nieproszonemu palce między drzwi włożyć, a w nieswoje wdać się rzeczy.

Szczypior słuchał.

— Obmawiacie się — rzekł — bo trudno teraz choćby człek rybią krew miał siedzieć spokojnie pod piecem i popijać ciepłe piwko z grzankami, gdy wszystko wre dokoła.

A ułoży się potem wszystko po elekcyi, powrócicie na wasz dwór i będziecie siedzieli jako i drudzy.

Westchnął ciężko Bajbuza.

— Chyba mnie nie znasz!—dorzucił.—Żenić mi się doprawdy nie godzi, bo charakteru nie poprawię i zawsze mnie jakaś bieda do guza kusić będzie.

Nazajutrz po tej wycieczce już wozy ładowano, a chorąży, który towarzyszył Bajbuzie, z nim razem opatrywał stu kopijników, których pan Nadstyrza z sobą prowadził. Lud był dorodny, zdrów, silny i ledwie czwarta część takich, co w ogniu nie bywali.

Konie i ludzie stawili się aż miło. Nie brakło nic, rotmistrz obejrzawszy wesoło powrócił do komina.

— Jutro po mszy świętej w drogę—rzekł wesoło.—Prawda, że się ma ku wiośnie, że choć marznie nocami, ale taje już we dnie i droga będzie pod czas dla nas i dla koni niemiła, a no na to żołnierz nie zważa.

Jak zamierzał rotmistrz, tak się stało; kapelan i proboszcz razem odprawił mszę świętą, potajemną do niej wiążąc intencyę, aby na pokój z dyssydentami nie dozwalano, pobłogosławił ludzi. Bajbuza i Szczypior siedli na konie, chorągiew ruszyła w pięknym porządku, przez stanowniczego poprzedzana.

Cale po pańsku ciągnął zawsze Bajbuza, choć bez wystawności i przepychu, a tem się odznaczał, że po drodze za wszystko płacił, stogów i stert ludzie jego nie psowali, kłótni z włościanami na noclegach i popasach nie dopuszczano.

Trzeciego dnia gdy na większy się gościniec wybili, mogli już zmiarkować, co pod Warszawą ich czeka. Mniejsze i większe oddziały do Zborowskich, Czarnkowskiego, Górków, Zbaraskich należące, pośpieszały ku mazowieckiej stolicy; ale co chwila też spotykali oddziały Zamojskiego, Żółkiewskiego, Dulskiego, Opalińskich i tych, co z hetmanem trzymali. O ile zmiarkować było można, lik po obu stronach prawie musiał być równym, ale hetmańscy szli cicho i spokojnie, gdy Zborowszczycy wrzawliwie się parli odgrażając i ledwie nie wyzywając po gościńcach do walki.

Swoim ludziom Bajbuza najmocniej zalecił, aby żadnego powodu do waśni nie dawali. Układali się też tak zawsze, aby obok Zborowszczyków ani nocować ni odpoczywać.

Im bliżej ku Warszawie, tem na gościńcach gęściej było. Chorążego Szczypiora z ludźmi zostawiwszy, rotmistrz się puścił przodem niespokojny, aby corychlej dostać języka. Gorączka ta, która mu nigdy spokoju nie dawała, gdy szło o publiczne sprawy, ogarniała go coraz mocniej.

Miał zawczasu zamówiony dwór dla siebie, przy Długiej ulicy, tam właśnie, gdzie się przybywających najwięcej zbierało, i wprost zajechał do niego.

Po drodze już Wąsowicza spotkawszy, który do hetmańskich należał przyjaciół, wiedział, że Zamojski nie przybędzie, bo mu to Karnkowski odradzał, ale Żółkiewski, Dulski i inni przyjaciele zastępować go nie omieszkają.

Ob rzało to Bajbuzę.

— Gotowi sądzić. że się ich uląkł—wolał w duchu—a to rozzuchwali. Zamojskiemu się poddać nie godziło, ale stanąć śmiało oko w oko. Zły początek.

Wąsowicz, który go spotkał wjeżdżającego, nadjechał tu zaraz. Młody był a zuchwały wojak i nawykły też do przewagi hetmana. Rozumieli się więc z Bajbuzą doskonale.

Zobaczywszy go na progu wołał rotmistrz.

— A to ja tu piękne rzeczy znajduję... hetman się cofa?

Wąsowicz głową potrząsł.

— Nie lękajcie się tego — rzekł — na początek jednak trzeba było Karnkowskiego posłuchać. Żółkiewski go tu zastąpi.

— A Zborowscy?

— Zborowscy? — przerwał Wąsowicz—tajemnica to jeszcze... Mówią jedni, że siłę mając z sobą, choć wywołani wbrew banicyi staną na sejmie, drudzy powiadają, że ich Górka zastąpi. Wszystko wre i kipi. W ulicach już ludzie się rąbią.

Nie wytrzymał rotmistrz.

— Gdzie Żółkiewski?—spytał—jest w mieście?

— U Giżych we dworze stoi—rzekł Wąsowicz.

— Idę do niego — odparł popędliwie Bajbuza, który do jutra czekać nie chciał.

— Ja z wami—dodał Wąsowicz.

W mgnieniu oka kazał sobie odzienie podać rotmistrz, konia osiodłać i pacholikowi siąść na drugiego.

— Jakto! samowtór myślicie na miasto?—zapytał Wąsowicz.

— Albo co?

— Znają was, żeście z hetmanem, napadnie który z ich ludzi... weźcie poczet koniecznie.

— Tak już u was w mieście?

— Nieinaczej.

Wyruszywszy w ulicę mógł się przekonać Bajbuza, że w istocie, jeśli jeszcze do walki otwartej nie przyszło, wszystko się do niej gotowało. Wyzywające wyrazy, obelżywe łajanie latały w powietrzu, ludzie sobie pięści ukazywali, mijając się. Żwawsi chwytali za oręż, który im wyrwać musiano.

Zborowskich wszędzie czuć było.

Około dworu Giżych, najmajętniejszych z mieszczan Warszawy, stały tłumy gęste. Do Żółkiewskiego wchodzili i wychodzili od niego ciągle naczelnicy

oddziałów. W ganku Urowiecki, hetmana wierny sługa, trzymał straż. Wewnątrz izby wszystkie były pełne.

Pięknej rycerskiej postawy pan Stanisław Żółkiewski stał spokojnie, przyjmując tych, co się biegli radzić i słuchać rozkazów.

— Zborowscy przybyli—wołali jedni—nie ma wątpliwości. Górka ich prowadzi. Nie widział ich nikt, ale czują wszyscy. Zobaczycie, że się w izbie pokażą.

— Nie będą śmieli—mówili drudzy—zuchwalstwoby było i lekceważenie prawa.

— A co dla nich prawo znaczy!—wyrywało się zdala.

Wśród tego gwaru przystąpił Bajbuza, osobiście znany panu wojewodzie, oświadczając, że mu stu kopijników przyprowadził.

— Nie daj Boże ich potrzebować — zawołał Żółkiewski — a no w porę bardzo przyjdą, bo Zborowscy i Górka mają pono do dziesięciu tysięcy, a nas na tyle dotąd nie stało.

— Niekoniecznie lik stanowi — rzekł rotmistrz.

— Zażartość na hetmana wielka—dodał śmiejąc się Żółkiewski.—Zborowscy śmieją stanowić nam warunki i nietylko domagają się odwołania dekretów banicyi, ale żądają deprekacyi ze strony hetmana. Grożą mu wieżą!

Okrzyk oburzenia wzniósł się dokoła.

— Ksiądz Karnkowski, który chory leżał i przybyć nie miał — odezwał się w tej chwili Szafraniec nadchodzący — przybywa leżący i każe się poprowadzić do senatu. Głowę traci. Zobaczymy go w izbie.

— Oho!—dorzucił ktoś inny—gorąco być musi, gdy się na to ważył.

Wtem Żółkiewski obróciwszy się do przyjaciół, na rany Pańskie zaklinać zaczął, aby ze strony ich żadna zaczepka nie wyszła. Dajmy przykład posza-

nowania prawa. Zbrodnią jest czasu bezkrólewia wszczynać boje. Zmuszą nas, bronić się będziemy, lecz niech ohyda wyzwania nas nie plami.

Wszyscy się zgadzali na to.

Bajbuza rozsłuchawszy się, rozpatrzywszy, z twarzą pochmurną powrócił do dworku swojego, dokąd i Szczypior nadjechał. Rozpalono ognie i do późna czas upłynął na rozmowie niespokojnych.

— To wcale do sejmu niepodobne — rzekł w końcu rotmistrz — ale wygląda na przygotowanie do bitwy.

Nazajutrz rano ludniej jeszcze było w ulicach. Bajbuza podumawszy a spróżnować nie mogąc, znowu się odział do wyjścia, ale tym razem na zamek, do królowej.

Znano go wszędzie, a królowa Anna była mu szczególniej życzliwą. Z podróży włoskiej powróciwszy, przywiózł jej był pożądane wiadomości i pamiątki z Baru, które mieć sobie życzyła. Był więc pewnym, że mu przystępu do niej nie odmówią.

Lecz i tu zjazd sejmowy dobrze czuć było. Kurytarz i drzwi były w ustawicznem oblężeniu. Marszałek dworu, osobiście życzliwy rotmistrzowi, prosił go, aby miał cierpliwość. Czekając więc z innymi, mógł się przypatrzeć ruchowi, jaki tu panował.

Co chwila przynoszono wiadomość jakąś lub wyprawiano posłańców.

Wsuwali się rakuszanie chcąc dostać języka, a może probując, czy się królowę pozyskać czem nie uda.

Szczególniej na mocy dawnych stosunków cisnął się ślepy Czarnkowski, lecz, królowa, którą długo oszukiwał, zimno go i milcząco się pozbywała.

Na samym końcu prawie przyszła kolej na Bajbuzę.

Królowę znalazł w towarzystwie dwóch pań, w grubej żałobie, niezmiernie zestarzałą, lecz z twarzą ożywioną jakimś promykiem nadziei.

Ponieważ nikogo oprócz kobiet nie było, mogła

Anna otwarcie powitać rotmistrza, nie potrzebując taić co myślała.

— Pomagajcie mi—rzekła—abym syna siostry mojej na tron wyniosła. Wychowałam go dla was, wprzódy po polsku niż po szwedzku się uczył. Pobożny jest, dobry, łagodny. Ja go za syna przysposobiłam.

Złożyła ręce na piersiach i powtórzyła.

— A! pomagajcie mi zgodnie.

— W. Królewska Mość zapewne poleciliście to hetmanowi—rzekł Bajbuza.

— Lękam się, aby on kogo innego nie miał na myśli—cicho szepnęła królowa.—Mówcie mu za mną i za Zygmuntem.

Głos jej drżał, patrzyła w oczy rotmistrzowi i łzy się jej kręciły pod powiekami.

— Tylko tego pragnęłabym dożyć—mówiła dalej — aby go posadzić na tronie, spokojną naówczas umrę.

Bajbuza nieśmiało wyraził ubolewanie nad tem, że hetman nie przybędzie do Warszawy.

— Wiem o tem—przemówiła Anna—lecz lepiej może jest, ażeby całą siłę na sejm elekcyjny zachował. Mąż jest baczny, wie co czyni. Bylem go dla mojego Zygmunta mogła pozyskać, nie ulęknę się innych współzawodników.

— Rozmowę tę przerwało przyjście duchownych, którzy chcieli powitać królowę. Bajbuza cofnął się zadumany.

Wszędzie znajdował ten sam niepokój i niepewność jutra. Nigdy może burzliwiej nie zapowiadały się sejmowe narady.

Stronnictwo Zamojskiego wywoływało głośno i stanowczo, że nic ten sejm nie miał więcej do czynienia, oprócz naznaczenia czasu elekcyi.

Tymczasem z drugiej strony widocznie inne mu zadanie usiłowano narzucić.

Przez cały dzień tak błądząc po mieście dla wyrozumienia jak rzeczy stały, w końcu Bajbuza powrócił zmęczony do domu i na łóżko się rzucił.

Szczypior czekał tu na niego ciekawy, a gotów wedle skazówki się pokierować.

— A co?—zapytał.

— Co? Chaos—odparł rotmistrz.—Nikt z pewnością nie odgadnie, co z tego wyrośnie. Daj Boże, aby rozumnym ludziom udało się krwi rozlewowi zapobiedz.

Westchnął.

— Rozumny pan—dodał—alebym wolał, żeby Karnkowskiego nie słuchał i sam tu nam przewodził Zamojski. Głowy nie mamy!

Przed wielu latami Bajbuza miał zręczność zbliżyć się do wojewody poznańskiego, tego, którego obóz przeciwny stawił jak równoważnego z Zamojskim.

Z wielu względów była to osobistość znakomita i umysł rozwinięty i żywy, zręczność wielka, obejście się z ludźmi umiejętne, dar ujmowania ich niepospolity odznaczały wojewodę. Nie zbywało mu ani na uczoności, ani na ogładzie, a choć wstrętliwą miał powierzchowność, pański przepych, niezmierne bogactwa, któremi blasku sobie dodawał, śmiałość i energia w postępowaniu pomagały mu do opanowywania łatwego ludzi, do pozyskania ich sobie. Ambicya wielka, temperament namiętny, sam rodzaj życia nadawał domowi jego urok jakiś pociągający. Dzień i noc otwarte były u Górki komnaty, stoły i kuchnie.

Wesołe usposobienie było panującem. Śpiewano, śmiano się, wykrzykiwano, dowcipkowano, a swoboda panowała aż zbyteczna.

Nic sprzeczniejszem być nie mogło z cichem i poważnem życiem hetmana, nad ten wyuzdany i rozpasany sposób życia wojewody. Ludzie też płynęli do niego chętnie, mając tu więcej swobody, pobłażania i uciechy. Dyssydenci mieli w nim opiekuna i obrońcę namiętnego.

Burzliwy duch Zborowskich najdoskonalej się godził z usposobieniem Górki.

Jakim sposobem ten obrońca swobód niepomiernych szlachty i wolności sumienia, mógł razem ze Zborowskimi stać w obozie cesarskim i prowadzić na tron rakuszanina, którego popierał Rzym i po którym obawiano się, że obali dawną budowę rzeczypospolitej, aby ją zastosować do państw, które już ulegały berłu dynastyi rakuzkiej, to namiętność tylko i idące za nią zaślepienie tłumaczyć mogło.

Trudno było naówczas tak samo zrozumieć Annibala z Kapui, wysłanego z Rzymu, popierającego partyę cesarską i przyjmującego, naradzającego się, idącego w jednym kierunku z dyssydentami, nieprzyjaciółmi Rzymu. Interes chwili zbliżał, łączył bez względu na przyszłość i następstwa.

Po namyśle Bajbuza, który miewał wybryki dziwaczne, oświadczył zimno Szczypiorowi.

— Pójdę do Górki!

— Wy? a toż poco?

— Powiem mu słowa prawdy—dodał Bajbuza.

— Na cóż się one przydać mogą? — odparł Szczypior — dziwuję się, że mogliście nawet pomyśleć o tem.

— A! — zawołał Bajbuza—ja bo mam taką naturę, że szukać muszę dróg, któremi nikt nie chodzi. Daj mi pokój!

— Idziesz więc?

— A jakże? Głowy mi nie zdejmą z karku—dodał — zobaczę i posłucham co mówią. Plunę im w oczy tem co myślę, a nie podoba się, cóż mi tam!

Bajbuza mówiąc to kazał sobie podać najbogatsze swe i najwspanialsze ubranie, ustroił się jak do króla. Ogromny, niemal jak gołębie jaje rubin zatknął pod szyją, i z fantazyą puścił się do dworu własnego pana wojewody.

Mało kto go tu znał, a ci co znali, koso nań spoglądali.

Dwór i tu przepełniony był gośćmi... krzyki, wołania i śpiewy słychać się dawały zdaleka.

Górka sam jeden wśród paradnie przystrojonego dworu swojego i gości, z lekceważeniem magnata, przyjmował ich w wytartym kożuszku i wykrzywionych butach, których barwy już rozpoznać było trudno. Z zamrożonemi oczyma, pogardliwie mierzył otaczających i krzyczał głośniej niż oni.

Wszyscy koryfeusze obozu znajdowali się około niego, oprócz panów Zborowskich, którzy chcieli się po raz pierwszy publicznie pokazać dopiero na sejmie.

Zobaczywszy wchodzącego Bajbuzę, którego nie poznał zrazu lub go sobie nie przypomniał Górka, zmarszczył się nieco, i nagle, jakby mu pamięć wróciła, powitał go grzecznie.

— Wyście tu też w Warszawie? — zapytał ironicznie.

— Gdyby nie obowiązek, to ciekawość sprowadzić mogła—odezwał się Bajbuza.

— Mnie ani jedno, ani drugie, ale złość i gniew tu ściągnął - rzekł wojewoda.—Skończyło się wreszcie panowanie despotów i przemocy... Moich powinowatych Zborowskich sprawa wyjść musi na stół, trzeba się było stawić.

— Juści nie na konwokacyi ją sądzić — przerwał Bajbuza — my tu więcej nic nie mamy do czynienia, oprócz naznaczenia terminu elekcyi.

Górka się rozśmiał.

— A my inaczej myślimy! — zawołał — kto ma na karku miecz i infamię, ten pory nie pyta. Sejm musi między hetmanem a Zborowskimi dekret wydać.

Bajbuza się zmarszczył.

— Pozwijcież nieboszczyka króla — odparł—bo hetman spełniał wolę jego. Za co tu go obwiniać?

Górka oczyma zapalonemi zmierzył od stóp do głowy rotmistrza.

— A! wiem, wy należycie do hetmana! — zawołał.

— Mnie się zda, że należę sprawiedliwości i prawu—rzekł zimno rotmistrz.

Wojewoda ramionami zżymnął.

— I przyszliście mi to zwiastować?—zapytał.

— A dlaczegóżbym nie miał powiedzieć co myślę? — począł dumnie Bajbuza, za pas kładąc jedną rękę.—Właśniem dlatego tu zabłądził do pana wojewody, ażeby się naocznie przekonać o tem, czemu wierzyć nie chciałem... że wasza miłość...

Wojewoda przerwał mu gwałtownie.

— Moja miłość—rzekł—trzyma ze Zborowskimi i trzymać z nimi będzie, a nigdy z despotą i ciemiężycielem! Słyszycie?

— Doskonale — odparł Bajbuza, około którego zwolna goście się skupiać zaczęli ciekawi.—Właśnie mnie to dziwi, że razem popieracie Zborowskich i sprawę cesarską do korony, która, gdyby się utrzymać miała, także nam nie obiecuje swobód przymnożyć.

Bajbuza się uśmiechnął. Brwi Górki się ściągnęły.

— Za młodym waćpan jesteś, abyś mnie uczył rozumu—rzekł popędliwie.

— Zgoda na to — odparł Bajbuza — więc wy, panie wojewodo, nauczyć raczcie mnie, jak to pogodzić. Ja nie potrafię.

Chmurno spojrzał na niego Górka.

— Życie waćpana nauczy—rzekł poskramiając się — iż są twarde konieczności, którym uledz człowiek musi napozór. Nie ma tu mowy o partyi cesarskiej, ani żadnej innej, pora nie przyszła, ale sprawa pokrzywdzonych na stole.

— Więc dla niej nowe prawo chyba uchwalać przyjdzie, bo stare nie dopuszcza — mówił rotmistrz.

— Waszmość tego rozstrzygać nie będziesz— rzekł Górka dumnie.

Bajbuza stał uparcie, choć wojewoda niespokojnie się oglądając, widocznie chciał go pozbyć.

Stali tak przez chwilę naprzeciwko siebie w milczeniu.

— Jeżeli hetman rachuje na to, że wojsko pod rozkazami ma — począł mruczeć Górka — omyli się na tem. My też nie jesteśmy bez ludzi.

— A godziż się dla prywaty wojnę domową zapalać?—odparł Bajbuza spokojnie.

— Nie myśmy ją rozpoczęli—krzyknął unosząc się wojewoda — ale ten, co dwory bezbronne najeżdżał i zakrwawiał, co przemocą nas nękał, co sam wyszedłszy z niczego, nas chciał poniżyć i wyniszczyć.

Tak—dodał wojewoda—ale przyszedł czas porachunku. Król zmarł, szwagier jego jest znowu prostym szlachcicem... a my tu starsi ojczyce od niego.

Bajbuza słuchał i głową potrząsał. Spojrzał na niego Górka i zdziwił się jego spokojowi i krwi zimnej. Otoczony ludźmi, którzy zdawali się chcieć porwać na niego, rotmistrz udawał, że ich nie widzi, a najmniejsza oznaka trwogi nie postała na jego twarzy.

Przedłużać rozmowę było próżnem. Rzucił długiem, powolnem wejrzeniem dokoła.

— Czołem panie wojewodo!—rzekł głośno.

— Czołem mości rotmistrzu — zawołał, gniew tłumiąc Górka.

Z powagą wielką, powoli Bajbuza, rękę położywszy na szabli, skierował się ku drzwiom. Niektórzy z gości ustępowali mu z drogi, inni nie poruszali się, tych on obchodził. Milczenie panowało w izbie, przeprowadzano go oczyma.

W progu nałożył czapkę na ucho, i tak samo jak w początku, krokiem mierzonym, wyszedł ze dworu wojewody.

Dopiero po chwili za nim wybuchnęły głosy oburzenia przeciw śmiałkowi, który się ważył najść tak dwór pana wojewody i zuchwale mu się stawić.

III.

Chmurnym porankiem zimowego dnia rozpocząć się miały nareszcie sejmowe narady, wśród tego umysłów wrzenia, które napróżno uśmierzyć usiłowano. Za Zborowskich stawał równie jak oni przejednany, gwałtowny, popędliwy a ufający w swą siłę Górka, którego podżegał Czarnkowski! Bij, zabij szczwano na Zamojskiego, chcąc mu nawet pod pozorem bezkrólewia hetmańską wydrzeć władzę.

Usiłowania jakiegoś porozumienia, do którego ze strony Zamojskiego stawał marszałek Opoliński, rozbiły się o opór Górki.

Wśród gróźb więc i wrzawy otwierał się sejm, na którym widocznie żywioły burzliwe górę wziąć miały. Występowały one zaczepnie, zuchwale, gdy przeciwna strona trzymała się tylko obronnie.

Od rana dnia tego plac przed starym zamkiem, oddzielające go od miasta zabudowania drewniane, podwórzec zamku, sienie, kurytarze, sama nawet sala obrad, natłoczoną była w większej części Zborowskich i Górków służbą, uzbrojoną, groźną i coraz się więcej uzuchwalającą.

Niepodobna było ani zabronić wstępu na salę, ani wyłączyć z ciżby najniespokojniejszych, a posiedzenie zapowiadało się groźno. Mnóstwo ludzi poprzychodziło z rusznicami i pistoletami, które umyślnie podnosili do góry.

Szukano Zamojskiego oczyma, ale posłuszny radzie Karnkowskiego, hetman, aby swą przytomnością nie jątrzyć bardziej umysłów, nie ukazał się. Stawali za niego Żółkiewski, Opoliński, Dulski i znani jego przyjaciele.

Bajbuza, pomimo odradzań chorążego, ubrał się, uzbroił i poszedł na zamek.

— Jeżeli wolno warchołom, wolno i nam się tam znajdować a bronić hetmana. Pod pozorom utrzymania pokoju, nie powinniśmy się dać zjeść w kaszy.

Ze spokojem więc, który go w najtrudniejszych nie opuszczał razach, rotmistrz poszedł, ale znalazł już na zamku ciżbę i tłok tak wielki, że się niepodobna było prawie do izby docisnąć. Siła tylko olbrzymia i zimna krew, z jąką sobie wśród tłumu drogę torował, pozwoliła mu dobić się do drzwi. Niektórzy ze Zborowszczyków poznawali go, inni domyślali się w nim nieprzyjaciela, nie szczędzono więc po drodze obelg i wykrzykników, które pogardliwem zbywał milczeniem.

Z wielkim trudem znalazł się nareszcie, chociaż w ostatnim rzędzie tłumu, który zalegał salę, ciągle jeszcze napływem nowych ludzi ciaśniej nabitą.

Jednem wejrzeniem można było przewidzieć i przepowiedzieć co się tam dziać miało. Górka i ślepy Czarnkowski, który się miotał jak opętany, skupiali większość około siebie. Na nich były zwrócone oczy i każde ich słowo, powtarzane rozchodziło się po sali, przyjmowane wesołem potakiwaniem.

Opalińskiego marszałka, który miał stawać w obronie hetmana, nie było. Śmiały Żołkiewski stał sam jeden niemal z Dulskim, szwagrem Zamojskiego, nie zważając na to, że pięści się podnosiły ku niemu, że go dolatywały wyrazy nie dwuznaczne, a obelżywe.

Jak wzburzone fale poruszał się ten tłum niespokojny, wśród którego blade twarze duchownych widać było okryte smutkiem i trwogą.

Nikt naówczas zaręczyć nie mógł, że się za chwilę nie zakrwawi ta spokojna obrad sala, a Bajbuza musiał znowu dłoń położyć na rękojeści szabli, aby w każdej chwili mógł jej dobyć. Przed nim, za nim, dokoło szydzono z hetmana, ledwie zmarłemu królowi nie szczędzono obelżywych łajań.

Żaden głos inny, oprócz tych zaczepnych, nie dawał się słyszeć. Widocznie Zborowscy górę tu wziąć

mieli, ale mógłże dla tego, przewidując porażkę, cofnąć się rotmistrz.

— Potrzeba, aby, choć z ofiarą żywota, stanął ktoś w obronie sprawiedliwości — powtarzał w duchu.

W chwili, gdy się nareszcie sejm miał otwierać, posłowie litewscy domagać się zaczęli o odroczenie go jeszcze na dni dziesiątek, ale na to już wychodzący marszałek Opaliński, ani inni przyjaciele Zamojskiego nie chcieli dozwolić, przewidując, że Zborowscy czasu tego użyją, aby się jeszcze bardziej skupić i zuchwalej wystąpić.

Wśród największego więc wzburzenia umysłów otwarły się drzwi i niespodziewany wcale ukazał się w nich pochylony starzec, z długą do pasa brodą, w uroczystych szatach purpurowych. Był to prymas Karnkowski, którego upadającego na siłach dwóch kapelanów pod ręce prowadzić musiało.

Karnkowski posuwał się zwolna, z widoczną trwogą na bladem obliczu, wargi mu drgały.

Zborowscy i Górka pewni będąc, że go mają za sobą, dali mu zająć krzesło, wstrzymując się od wszelkich oznak niechęci. Lecz milczenie zaledwie bardzo krótką potrwawszy chwilę, natychmiast znowu szmerem, gwarem i wrzawą zostało przerwane. Czarnkowski i wojewoda poznański dawali znaki swoim, ruch na ławach nie ustawał, mimo, że prymas mówić rozpoczął.

Nie słyszano nawet piewszych słów jego zachęcających, pobudzających do zgody i pokoju, a kilku zuchwalszych dyssydentów przerwało mu szyderskiemi wołaniami.

Zaledwie Karnkowski, znakiem krzyża świętego i błogosławieństwem kończąc, zamknął usta, gdy w tłumie zakipiało, poruszyli się wszyscy i ponad ciżbę podniosła się znana twarz blada Andrzeja Zborowskiego.

Sama przytomność jego tutaj już była najzuchwalszem wyzwaniem nieprzyjaciół... ale szmer zdzi-

wionych pokryły wykrzykniki zwycięzkie Czarnkowskiego i gromady wielkopolan.

Zborowski zajął miejsce, a co większa, z rąk sługi, który tuż za nim szedł, wziął marszałkowską laskę i, nim mógł kto zaprotestować, począł mówić.

Cała mowa jego gwałtowna, zuchwała, przypominająca tę, którą u zwłok Samuela wypowiedział w Krakowie, była nie obroną rodziny, ale obwinieniem króla i Zamojskiego.

Żaden głos nie odezwał się za nim. Rotmistrz po dwakroć się podniósł stając na ławie i chciał przemówić, ściągnięto go z niej, zahukano, zagłuszono. Tłum cały za Zborowskim stał i przyklaskiwali im.

Wśród największego zamętu i burzy, która w pośrodku sali nie ustawała, zgromadzeni poczęli się nakoniec rozchodzić, i Bajbuza zdyszany, zmęczony, nie dokazawszy nic, z gniewem w duszy, wprost ztąd pobiegł do pana Stanisława Żółkiewskiego.

Przewaga Zborowskich była tak dotykalną, że walczyć z nią nawet, jeśliby sił nowych nie przybywało, niemożliwem się zdawało.

We dworze Żółkiewskiego zastał rotmistrz dosyć liczne zebranie przyjaciół hetmana. Opaliński siedział o stół oparty, zniechęcony staraniem napróżnem.

— Panie wojewodo—zawołał na próg wstępując rotmistrz — nie wiem kto winien temu, ale sejm tak dziś wyglądał, jakby był oskarżycielem i króla i hetmana, a nie ich i sprawiedliwości obrońcą.

Gdyby Zamojski tu był, inaczejby się obróciło wszystko. Niebytność jego odjęła nam siły.

— Karnkowski się tego domagał po nim —odparł Żółkiewski.

— Niedołężny starzec jest widocznie w rękach Górki i Czarnkowskiego — zawołał rotmistrz — nie należało go słuchać, sejm się jak najgorzej rozpoczyna. Jutro oni zuchwalsi będą niż dziś... Wyszli z niego jak zwycięzcy.

— Do tego daleko—odparł Żółkiewski—dajmy im się wykrzyczeć.

Smutnie spuścił na piersi głowę Bajbuza.

— Jam tu nie do kierowania sprawą przybył, ale do służenia jej — dodał. — Stoję więc pod rozkazami waszemi, ale mi się dusza krwawi patrząc i słuchając.

— Mnie także—zawołał Żółkiewski—lecz cierpliwość mieć musimy.

Taki był początek.

W ciągu dnia tego, po odniesionym tryumfie Zborowszczycy jeszcze zuchwalej w mieście dokazywać zaczęli. Przyjaciołom hetmana już się w ulicach pokazywać nie było można.

Zamordowano kilku szlachty... odgrażano się wprost na Żółkiewskiego i Opalińskiego, którzy jawniej występowali.

Nie przeszkadzało to Bajbuzie jak najotwarciej i najgłośniej bronić hetmana, a pomimo zuchwalstwa burzycieli, nikt jednak porwać się nie śmiał na niego.

On i Szczypior jeździli we dwu po mieście i umyślnie się pokazywali.

Rotmistrz był do najwyższego stopnia poruszony i gniewny, lecz uśmierzał się sam i czekał.

Następne posiedzenie, na które pośpieszył wcześniej, aby się dobić lepszego miejsca, rozpoczęło się jak poprzedzające.

Po Zborowskim marszałku zabrał głos Górka, poszli za nim inni nieprzyjaciele króla, już nie samą sprawę Zborowskich i śmierć Samuela, a banicyą jego braci wyrzucając nieboszczykowi, ale jego i hetmana oskarżając o nadużycie władzy, o przemoc, o nieprawy szafunek skarbu... o pogwałcenie praw i przywilejów.

Zaledwie kto z przytomnych głowę podnosił z protestacyą spychano go, zamykano mu usta, głuszono podniesioną wrzawą.

Prawie na końcu zerwał się ze swego krzesła,

domagając słowa Czarnkowski stary, poseł poznański ślepy warchoł, znany cesarza i rakuskiego dworu sługa, który z dwóch źródeł chciał czerpać, a przez Zamojskiego został odepchnięty, gdy się łask coraz nowych domagał.

Zdawało się, że gwałtowność napaści na hetmana coraz rosła i stawała się zuchwalszą, mowa Czarnkowskiego doszła do ostateczności. Był to wybuch obelg, nieprzerwany potok potwarzy, wyrzutów, szyderstw i obwinień. Czarnkowski pienił się, rzucał, miotał, a że ślepota nie dawała mu ocenić wrażenia, jakie sprawiał na słuchaczach, wysilał się, aby je spotęgować. Nie była to już w końcu mowa posła, ale ulicznego jakiegoś przeciwnika gburowskie znęcanie się nad wrogiem.

Kilkakroć nawet wśród otoczenia Górki zmarszczyły się brwi i skrzywiły usta, ale Czarnkowski widzieć tego nie mógł im więcej, a dłużej mówił, tem jego samego silniej rozpalała namiętność. Napróżno go usiłowano powstrzymywać.

Siadł nakoniec tak znużony, że już mu głosu zabrakło, a nim kto inny zdołał się odezwać, po nad ławę, na której siedział za Żółkiewskim, podniósł się Bajbuza.

— Zajadłości waszej przeciwko nieboszczykowi panu i hetmanowi jawne są pobudki — zawołał na głos — wiemy więc co ważą takie potwarze...

Chcieliście referendaryi, odmówiono wam jej, toć największy grzech króla i Zamojskiego...

Chcieliście starostwa płockiego, nie dano go, wtóra wina.

Zażądaliście naostatek najlepszej gratki, nie będąc kapłanem, koadjutoryi arcybiskupstwa gnieźnieńskiego i to się wam nie powiodło. *Inde irae! Inde irae.* Dość wam tej odpowiedzi!

To rzekłszy siadł Bajbuza.

Nie wiadomo czy wszyscy w izbie wśród gwaru, słowa te, choć dosyć głośno rzeczone w twarz ślepcowi, usłyszeli, ale ci, których uszów doszły, zamilkli zmięszani.

Nie można było zaprzeczać temu zarzutowi prywaty. Powstała też wśród Górki przyjaciół wrzawa ogromna i ręce się poczęły wyciągać ku Bajbuzie, jakby go na kawały rozszarpać chciały. Nie dosięgła go jednak żadna... gniew musiał być tem głębszy i silniejszy, że nawet wśród adherentów Zborowskich ta cynicznie wypowiedziana prawda wywarła wrażenie, które się zatrzeć nie dawało. Czarnkowski, jak wszyscy ci, którym jednego zmysłu brak, a inne się przez to zaostrzają, słuch miał czuły, żaden więc wyraz rotmistrza nie był straconym dla niego. Zbladł, zaczął się trząść i byłby może wystąpił z jaką obelżywą napaścią, gdyby w tej chwili, wśród najsilniejszego miotania się ciżby, nie podniósł się Marcin Leśniowolski, kasztelan podlaski.

Nie należał on właściwie do żadnego obozu i liczył się do tych, których naówczas neutralistami zwano, a Herburt ich piętnował, jako winowajców, bo nie wolno było, zdaniem jego, dziecięciu rzeczypospolitej, w sprawie macierzy, obojętnym pozostać.

Leśniowolski wszakże był nim napozór tylko, nie mięszał się do próżnej słów szermierki, nie miotał, gdzie na ruch daremny zmagać nie było potrzeba, ale miał odwagę chłodną stanąć w obronie sprawiedliwości.

Zborowszczycy zrazu nie wiedząc do jakiego liczył się obozu, mając go za swego, nie zahukali; wtem z pierwszych słów zaraz okazało się usposobienie Leśniowolskiego do zgody i pokoju. Tego było dosyć, aby go zaliczono do hetmana przyjaciół.

Natychmiast powstała znowu wrzawa niewypowiedziana. Chwytano kasztelana za suknię, chcąc zmusić, aby usiadł i zamilkł... łajano i grożono.

Nakoniec na domiar tych wybryków, w ostatnich rzędach podniósł się nad ławę pijany żołdak Zborowskich, z rusznicą w ręku i w oczach wszystkich ją

wymierzył na kasztelana, który ani drgnął; ani mówić poprzestał.

Ochrypłym głosem żołdak z rusznicą wołał, patrząc na Górkę i na Czarnkowskiego, o którego ślepocie zdawał się nie wiedzieć.

— Rozkażcie tylko... palę mu w łeb!

Była to kropla wody ostatnia, która naczynie pełne miała do rozlewu doprowadzić. Ze wszystkich stron to zuchwalstwo żołdaka w izbie sejmowych obrad wywołało oburzenie niezmierne.

Podnieśli się biskupi naprzód, wołając za Solikowskim.

— Otóż do czegośmy doszli z łaski waszej, panie wojewodo!

Zwracali się do Górki.

Żołdaka pochwycono natychmiast i ściągnięto z ławy, ale wrażenie pozostało.

Zborowszczycy sami pojęli naostatek, że doprowadzając sprawę do takiej pogardy wszelkiego prawa, sobie samym szkodzili najwięcej.

Zaczęto wołać o milczenie, a Leśniowolski, wśród cichego już szmeru, mowę swą dokończył.

Słuchano jej wśród niepokoju, wywołanego wypadkiem, nie mogącym bez następstw pozostać.

Zaledwie kasztelan skończył, gdy biskupi pierwsi opuścili swe krzesła, a za nimi znaczniejsza część senatorów wyszła z sali.

Około Czarnkowskiego tylko i Górki skupiła się garść ich przyjaciół, widocznie strwożona, choć nie chciała dać tego poznać po sobie.

Bajbuza wysunął się za innymi z tą krwią zimną, którą umiał zachować w najgorszych razach. Jego wystąpienie dało go poznać tym, którzy nigdy nie spotykali i nie wiedzieli kim był... ale zarazem poburzyło wszystkich przeciwko niemu.

Usłyszał pogróżki dokoła, na które wcale nie zważał, ani nawet oczu podniósł, aby wiedzieć zkąd wychodziły.

Dokoła wywoływano.

— Czekaj ty! zuchwały Buzo! nie ujdziesz ty rąk naszych... zapłacisz krwią za obelgę! zapłacisz...

Jak psu mu w łeb wypalimy!

Powiesić go na pierwszej lepszej gałęzi. Nie obroni cię twój hetman. Skończyło się jego panowanie.

Wykrzykniki te towarzyszyły Bajbuzie w kurytarzu, na podwórzu, i aż w ulicę na zamek. Tu spotkał Żółkiewskiego i z nim razem podszedł nieco ku jego dworkowi.

— Cóż myślicie? - zapytał wojewodę.—Hetmana trzeba o tem uwiadomić, co się tu przeciwko niemu wywołuje. Może on nie dbać o to, ale pamięci króla nieboszczyka się to należy. Musi odpowiedzieć, powinien przybyć lub odpisać.

— Przybyć nie — odparł Żółkiewski — bo albo stanąć od otwarcia sejmu był powinien, lub wytrwać musi w postanowieniu, aby się nie chlubili, że go ściągnęli.

Na jutro—dodał—spodziewam się list jego otrzymać. Czytać go damy.

Odwrócił się z rozjaśnioną nieco twarzą Żółkiewski ku rotmistrzowi.

— Dobrzeście ślepemu plunęli w oczy — rzekł z uśmieszkiem.—Mało wyrazów, a każdy z nich był policzkiem. Bóg zapłać... Nieochybnie wam teraz jak mnie grozić będą śmiercią.

— Ah! — zawołał rubasznie Bajbuza — w to mi graj! Przynajmniej poczuję, żem tu się na co zdał. Wyszedłem z izby ostrzeliwany temi groźbami, aż mi się cieplej od nich zrobiło.

— Nie będą się ważyli targnąć — przerwał jadący obok Żółkiewskiego Wąsowicz, bródkę gładząc. Jednegoby zabili, a tysiące sobie narazili jawnym gwałtem, ale pokątnie z za węgła? kto wie?

Żółkiewski potrząsnął głową, rozstali się. Bajbuza powrócił do dworku, w którym Szczypior oczekiwał na niego.

Opowiedział mu śmiejąc się, jak Czarnkowskiego zmył... i że mu się za to śmiercią odgrażano.

Chorąży to wziął mocniej do serca niż Bajbuza i strwożył się.

— Tak-li jest—rzekł—ja już was nie odstąpię. Wprawdzie dwoje rąk niewiele znaczy, ale zawsze w razie napaści choć się oprzeć możecie o plecy moje.

— Bóg zapłać, ale wierz mi, Szczypior, nie mam obawy — rzekł rotmistrz. — Ci co się odgrażają, nie są straszni, gorsi co milczą.

— A i tych tam siła być może, kiedy ich taka kupa! — zamruczał Szczypior.

Dzień się skończył na tem. Nie szli już nigdzie, a z dawnych towarzyszów broni rotmistrza, nikt go dnia tego nie odwiedził. Zdziwił się tylko Bajbuza, gdy późno już pokazał się dworzanin księżnej Sapieżynej.

— A wy tu co w Warszawie robicie?—zapytał.

Był to zaufany księżnej Teresy stary sługa, milczący a powolny człek.

— Mamy i my nasze małe sprawy — odparł— a księżna przytem kazała mi się dowiedzieć i donieść o miłości waszej, bo, choć to ino sejm jest, ale się zabiera jak na wojnie krwią kończyć.

— Pokłońcież się miłościwej pani — odparł Bajbuza — a napiszcie, że przy pomocy Bożej choć wielce pognębieni przez warchołów, ani się strwożym, ani tracimy nadziei; że poczciwi wezmą górę.

Drugiego dnia potem ani było powstrzymać rotmistrza od znajdowania się na posiedzeniu. Szczypior spróbował i cofnąć się musiał.

— Bój się Boga! — zawołał Bajbuza — gdybym jak chorym był, tobym się zanieść kazał, inaczej mnie tchórzem ogłoszą. Boże uchowaj od posądzenia nawet.

Znowu pogróżkami ścigany, rotmistrz wcisnął się na salę, a zajął przebojem toż samo miejsce co wczoraj, aby wiedzieli gdzie go szukać oczami. Siadł im tak szeroko i widocznie, jakby wyzywał,

Dnia tego miał pociechę, że list zapowiedziany hetmana czytano, a choć go Zborowszczycy przerywali łajaniem i szyderstwy, nie mógł on przejść bez skutku na umysłach. Pismo było poważne, spokojne i piękne, a kończyło się poruszającemi wyrazy.

Zarzucono mu, iż się nie stawił, odpowiedział na to:

„Przyjdę, ale przyjdę w pokoju, bez cudzoziemskich posiłków (mieli je Zborowscy)—zachowam się jak *bon civi* (dobremu obywatelowi) przystoi. To com w początkach miotanych na mnie podejrzeń powiedział, i teraz powtarzam. Mam tylko jedną córkę i jednego potomka i drogiemi są sercu mojemu; tych ja wam jako rękojmie pokoju i wierności mej oddaję. Niech mnie więc jak kto chce obnosi. Jakim jestem dowiodły już sprawy, okażą i dzisiaj postępki moje"...

Śmiechem gorzkim zakończyło się czytanie, ale co było ludzi poważniejszych w senacie, czuło, że dostojeństwo jego naruszoneby było, gdyby obrady dłużej w ten sposób gorszący, wśród wrzawy arbitrów uzbrojonych odbywać się miały.

Postanowiono więc przez dni kilka zamknąć izbę dla słuchaczów i nie wpuszczać nikogo. Sprzeciwiali się temu Górka i Czarnkowski, ale wielką większość mieli przeciwko sobie. Musieli uledz.

Rotmistrz więc tylko codziennie wieczorem chodząc do Żółkiewskiego, który pilno w izbie pracował choć napróżno, mógł się o przebiegu sprawy dowiedzieć.

Zborowszczycy nie wiedzieć na czem polegając, uparcie przeciwko hetmanowi stawali, to domagając się złożenia buławy, to jakichś ustępstw i upokorzenia, na które Zamojski nigdy w życiu przyzwolić nie mógł.

Opaliński marszałek, Żółkiewski, biskup przemyślski Baranowski, Dulski ujadali się napróżno przez kilka dni z Górką i Czarnkowskim. Cesarscy partyzanci, czując poza sobą poparcie całego obozu, nie

dawali się do żadnych ustępstw nakłonić. Żądali, aby za Samuela padł ofiarą Zamojski.

W kilka dni przychodząc wieczorem do Żółkiewskiego Bajbuza, zastał go niespodzianie wybierającym się w drogę.

— Dokąd? — zapytał niespokojny. — Juściż nie opuścicie placu?

— Ja? — odparł Żółkiewski—nie możecie mnie o to posądzać; ale już tu nie ma co robić, wyczerpaliśmy wszystkie środki, a pokątnemu mordercy dać się tu zgładzić, gdy człowiek czuje się potrzebnym i chce służyć rzeczypospolitej, byłoby grzechem. Wiem, że mnie postanowili zamordować.

Bajbuza krzyknął nagle.

— Nie damy was! własną osłonimy piersią.

— Powracam do hetmana — przerwał mu Żółkiewski rękę wyciągając — tak mi rozkazał. Jutro rano jadę, ale w biały Boży dzień, aby nie sądzili, że się ich ulęknę.

Strwożył się mocno rotmistrz.

— Źle to jest—zamruczał.

— Mam-li szczerze powiedzieć — dodał Żółkiewski zbliżając się do niego. — Wy także zemstę ich na siebieście ściągnęli, jedźcie ze mną.

— Przeprowadzić was dla bezpieczeństwa chciałem sam, niżeliście to powiedzieli — odezwał się rotmistrz — lecz zostanę tu potem. Nie ustąpię. Jeżeli ujdziem wszyscy, nadto będą tryumfowali.

Spytał potem Bajbuza o godzinę wyjazdu. Żółkiewski umyślnie nazbyt rannej nie naznaczył.

— Mszy świetej wysłucham u Panny Maryi i ztamtąd pociągnę — odpowiedział Bajbuzie.

— Ja też stawić się będę ze wszystkimi ludźmi mymi.

Miał już odchodzić, gdy ze złamanem czekanym w ręku wszedł sługa Żółkiewskiego. Na widok jego uśmiechnął się Żółkiewski, biorąc mu go z rąk.

— Oto — rzekł, pokazując strzaskany czekan — czem mnie dziś sługa Andrzeja Zborowskiego, w powrocie z zamku poczęstował.

Muszę mu oddać sprawiedliwość, że mierzył dobrze i rękę ma silną. Czekan o czapkę moją drasnął tak silnie, że mi ją z głowy zrzucił, a o płot się roztrzaskał, ale czaszka moja byłaby mu się nie oparła.

Bajbuza osłupiał.

— Byćże to może? — zakrzyczał.

— Stu ludzi patrzyło na to — odparł spokojnie Żółkiewski — człowieka tego po imieniu i nazwisku wszyscy wymieniają, ale ani mi dochodzić na nim godzi się zamachu tego, ani czekać tu, aby go drugi zbój z za węgła szczęśliwiej powtórzył.

Do walki stanąć gotówem, ale na morderstwo się takie narażać byłoby nierozumnem. Doszliśmy już do tego, że w ulicy bezpiecznym być nie można.

Jeżeli sądzicie—dodał — że jutro nam spokojnie dadzą wyciągnąć, mylicie się. Jestem pewnym napaści, dlatego wozy moje wszystkie biorę, aby na wypadek przemagającej siły otoczyć się taborem.

Przejęty jeszcze cały tem, co tu posłyszał. strapiony niewymownie, Bajbuza powrócił coprędzej do domu.

— Szczypior!—zawołał od progu. — Idź natychmiast... ludzie niech wszyscy będą do dnia w pogotowiu. Przeprowadzimy Żółkiewskiego, na którego życie nastają. Dziś o włos czekanem mu głowy nie rozbito.

Szczypiorowi znużonemu już bezczynnością była to najpożądańsza nowina, jaką mógł rotmistrz zwiastować; pochwycił się więc natychmiast z taką żywością i ochotą, jak gdyby czasu mu nie miało starczyć.

Wyrzekł się wieczerzy i snu, bo musiał do ludzi jechać i zgromadzić ich, zawsze rozproszonych po mieście, gdy nic do czynienia nie mieli.

Nazajutrz dobrze przededniem cały oddział Bajbuzy stał już przy dworze Żółkiewskiego, gdzie się też jego ludzie wszyscy zebrali, i wozy gotowano.

Dzwonek kościelny powołał ich naprzód do P. Ma-

jabky mu rękę potrącono, a w tem Szczypior krzyknął.

— Ranili cię bestye! ranili.

Zwrócił się pan Żółkiewski natychmiast do rotmistrza, obstąpiono go, a niektórzy na zbójów rzucić się chcieli, aby pomścić ten postrzał, ale hałastra, która miała rozkaz ustąpienia, a nie wiedziała kto był ranny... zamiast się tem uzuchwalić, strwożyła się. Ten i ów więc zawrócił do miasta nieznacznie, a gdy raz się ten ruch rozpoczął, cała kupa ogromna, jak na hasło jakie odciągać poczęła w rożne strony.

Bajbuzie zaraz na miejscu, prosty człek bardzo też po prostu, czując kulę pod skórą blizko, nożem tępym rozciął ją i naprzód dobył ołów z rany, potem rękę obwiązał. Chciano, ażeby zaraz z ludźmi do Warszawy powracał, ale rotmistrz oświadczył, że póty tu stać będzie on i Szczypior, dopóki nie przekona się, że Żółkiewski odciągnął bezpiecznie.

Z pół godziny trwało znowu nim tabor rozwiązano, wozy pozaprzęgano i oddział gotowym był w drogę. Przez cały ten czas Bajbuza, choć mu się we łbie kręciło, bo krwi dosyć stracił, z konia nawet już nie zsiadł, i wozu, który mu chciano przyprowadzić, nie przyjął.

Szczypior wściekły chodził, pięści sobie ciągle do czoła przyciskając, a zębami zgrzytając. W ten sposób zawsze się jego gniew wyrażał, z dodatkiem niewyraźnie wymawianych przekleństw straszliwych.

Kto strzelił? było i miało pozostać nazawsze tajemnicą. Kupa, ponad którą dym się podniósł po wystrzale, najpierwsza potem z pola zeszła, rozdzieliwszy się. Śmiechy tylko i krzyki towarzyszyły jej odwrotowi.

Ci, co na to zdala patrzyli, ponieśli do miasta zaraz wieść, że albo sam pan Żółkiewski lub jego najgłówniejszy dowódzca ciężko był rannym. Cieszyli się tem, ale w domu Górki, dokąd z wiadomością pośpieszono, nie byli pono jej radzi. Wiedzieli, że im tę krew wypominać będą, a i tak już z każdym dniem coby miała urastać ich partya, słabła i rozdzielała się. Niektórzy zuchwalstwem oburzeni, cofali się, duchowieństwo całe z sejmu już wystąpić chciało.

Sam Karnkowski czując się głową i wodzem tych ludzi, zniechęcony, wyrzutami ich przyjmował.

IV.

Nie chcąc aby sądzono, iż się raną swą chlubi albo ją obrócić myśli za narzędzie przeciwko Górce i cesarskim, brzydząc się wszelkim przechwaleniem i rozgłosem, Bajbuza, choć dla wielkiego upływu krwi ledwie się na koniu mógł utrzymać, delią osłoniwszy rękę a Szczypiorowi przy sobie jechać każąc, po pożegnaniu Żółkiewskiego, pociągnął do miasta.

Miewał zawsze przy swym oddziale kilku doskonałych trębaczów i flecistów, tym więc, przy towarzyszeniu bębna, który wiózł dobosz na koniu, kazał grać i jakby w tryumfie przez most ciągnąć, aby nieprzyjacielowi dokuczyć.

Zborowszczycy pochowali się na czas, choć i oni buty wcale nie stracili, a rannym się tak chlubili, jak wprzódy czekanem, który o mało Żółkiewskiemu nie rozbił głowy.

W mieście ten wyjazd Żółkiewskiego i na zamku uczynił wrażenie nie małe, ale trudno było powiedzieć na czyją stronę przeważało ono.

Ci, co z Zamojskim trzymali, nie byli radzi przebiegowi sprawy na sejmie i hałaśliwemu występo-

niu Górki z Czarnkowskim, ale też Zborowscy skarżyli się, że nie dopięli czego chcieli i widzieli, że im teraz z każdym dniem ubywało towarzyszów. Wielu spokojniejszych ludzi, nie mogąc się doprosić pomiarkowania, stawało na stronie.

Ani za, ani przeciwko.

Czarnkowski tylko z cesarskimi partyzantami krzyczeli i miotali się jak przedtem, pewni, że poparci zostaną czynnie, a domagając się posiłków.

Gdy Bajbuza do miasta nazad wjechał, znalazł je już uspokojonem nieco, przynajmniej na pozór. Na drodze nikt mu nie zastąpił i bezpiecznie dostał się do dworku, gdzie zaledwie wszedłszy, musiał się w łóżko położyć.

Z zamku przysłano od królowej natychmiast dowiedzieć się o rotmistrza, bo go z okien widziano tam i nazad z oddziałem ciągnącego, a papiezki poseł Annibal z Kapui z wieży od P. Maryi, cały przebieg tego wypadku naocznie oglądał.

Szczypior dworzaninowi królowej dał wiedzieć, że Bajbuza ranny i o lekarza prosił. Nie upłynęła więc godzina, gdy nadworny Batorego Buccella, ten sam co się z Simoniusem spierał o leczenie nieboszczyka, przybiegł do dworu dla opatrzenia rany.

Z rotmistrza, który zaciąwszy usta milczał, nic dobyć nie było można, więc i o ranie tyle tylko wiedziano, iż kula z niej wyrznięta dobytą została. Dopiero gdy Buccella ramię obnażył i ranę opatrzył, okazało się, że kość była nadwerężona i muskuły potargane.

Bajbuza jedno powtarzał.

— Panu Bogu chwała! Lewa ręka! a cóżbym ja bez prawej na świecie robił?

Włoch, który po polsku, choć tu długo mieszkał, mówił obrzydliwie, oświadczył rannemu, że niebezpieczeństwa utraty ręki niema, ale ranę pielęgnować długo będzie potrzeba.

Lekarz nadworny królowej i króla, gorącego temperamentu, zjadliwy i zgryźliwy człek, który w pokoju długo żyć nie mógł, a oprócz medycyny trudnił się wszystkiem co zysk przynieść mogło, dobra skupywał, spółki zawierał, zapewniwszy rotmistrza, że go nawiedzać będzie, nakazał spoczynek i łoże.

Bajbuza znał go chciwym.

Doktorze — odezwał się do niego — *clara pacta*, im krócej będę chorzał, tem lepiej zapłacę. Rób sobie co chcesz. Ja pod czas chorować nie mogę, bom tu i owdzie potrzebny. Wprawdzie się i bezemnie obejdzie, ale moja też ręka przydać się może, jeśli nie głowa.

Zapewnił go Włoch, że uczyni co tylko będzie można, aby go corychlej z łoża podźwignąć.

Chociaż z tej rany swej nietylko chluby nie szukał rotmistrz, ale wolałby był ją utaić nawet, dnia tego o niczem nie mówiono po Warszawie, tylko o czekanie rzuconym na Żółkiewskiego i o postrzeleniu Bajbuzy.

Górka, chociaż ząb miał do człowieka, który mu we własnym jego domu nauki śmiał dawać, gdy mu śmiejąc się i uradowany dworzanin przyniósł pierwszy tę wiadomość, że Bajbuzę raniono, cisnął na niego kijem, który w ręku trzymał.

— Już i tak nas Kainami piętnują — krzyknął — powiedzą na mnie, żem się mścić chciał za jego wystąpienie.

Zły był. W istocie mu też przypisywano, co było dziełem przypadku. Rotmistrz wielu miał wszędzie przyjaciół, bo rad pomagał, a znano go możnym, nie zamykały się więc drzwi za dowiadującymi o zdrowie jego, nadbiegł i dworzanin księżnej strwożony, domagając się, aby go do Bajbuzy wpuszczono, ale Szczypior się temu oparł.

— Dajcie mu spocząć — rzekł — niebezpieczeństwa życia niema: ból srogi, ale my do znoszenia go przywykliśmy. Ręką rychło władać nie będzie, doktór jednak ręczy, że władzę przywróci.

Po odjeździe Żółkiewskiego i sam sejm już po-

śpieszono zamknąć, naznaczając czas elekcyi, ale w umysłach ogólnie zapadł zwrot Zamojskiemu przyjaźniejszy.

Widziano w nim męża, który ład mógł joden utrzymać, a w Zborowskich wichrzycieli, co dla własnego interesu niepokój mnożyć byli gotowi. O Czarnkowskim wiedziano, że zaprzedany był, a Górka dyssydentów popierał. Duchowieństwo więc pierwsze w senacię zaczęło i na Karnkowskiego działać, aby nie doliwał oliwy do ognia.

Bajbuzie dolegało to więcej niż potrzaskana kość w ręku, iż na sejmie bywać, obradom się nie mógł przysłuchiwać, a z nich słuchać musiał sprawozdania tych, co albo na jedną lub drugę stronę przesadzali i po swojemu tłumaczyli, co w rzeczy inaczej było. Chociaż więc Szczypior, żołnierz i *simplex servus Dei*, nie nadawał się na takiego posła, codzień musiał się wciskać pomiędzy arbitrów, aby Bajbuzie donosić trzeźwo i zimno co się na zamku działo.

Zwrot najmocniej czuć się dający, a dla Górki nieprzyjażny, wywołało domaganie się dyssydentów, aby im ich prawa potwierdzone przez Henryka tuż, zaraz, zapewniono. Przeciwko temu zaś jawnie i potajemnie z wielką przebiegłością działał Annibal z Kapui, poseł rzymski papieża, i duchowieństwo całe.

Wahający się arcybiskup tak był złamany i znękany obustronnemi naleganiami i groźbami, że sam nie wiedząc co począć, pod pozorem choroby uciekać myślał.

I stało się, czego dyssydenci nie przewidzieli, że z wyjątkiem dwóch, wszyscy biskupi, a z nimi Karnkowski, bez opowiedzenia się, bez pożegnania, dnia jednego rozjechali się z Warszawy.

Wpadł z tą wieścią Szczypior śmiejąc się, bo wiedział, że nią uraduje chorego.

Solikowski arcybiskup lwowski i Goślicki biskup kamieniecki, chociaż się z wyjazdem ociągnęli,

nie ustępowali wcale i na żądanie dyssydentów zgodzić się nie myśleli.

Na jednem z posiedzeń, które Szczypior z właściwą sobie opisywał prostotą, Solikowski, któremu zuchwalstwem dojadł Górka, powstał cały rozżarzony, gniewny, pałający i krzycząc na głos cały, że bodaj mu życie wzięto, nie dopuści, aby kościół szwankował. Zerwał z głowy kaptur szkarłatny z mucetem i rzucił go na salę, suknię na sobie rozdarł, piersi obnażył.

— Strzelajcie! — zawołał.

Wśród osłupienia i milczenia, wywołanego tą sceną gwałtowną, wyszedł precz Solikowski i natychmiast z miasta wyjechał.

Pozostawszy sam Goślicki, nie mógł już przeciwko całemu duchowieństwu sam jeden się okazać miększym, wyruszył więc z innymi.

Tu dopiero przerazili się wszyscy. Cały trud sejmowy szedł w niwecz, bez senatorów duchownych uchwały mogły być uznane za nieważne; sromano się takiego rozdwojenia, wyprawiono pogoń nie już za Sulikowskim, na którymby nic nie wymożono, ale za słabszym Goślickim.

A i ten ledwie nieledwie dał się uprosić; zawrócił do Warszawy i akt konwokacyi podpisał z restrykcyą. Dla pokoju!

Zaszkodziło to Goślickiemu, bo go poseł rzymski zaskarżył do Stolicy apostolskiej, jako powolnego dla dyssydentów.

Stało się to już pierwszych dni Marca.

Mogło się zdawać, że elekcya wśród tak burzliwego stanu kraju wprędce naznaczoną zostanie, aby wynijść z niepewności, ale podobno wszystkie stronnictwa zwłokę wolały.

Bucceli z zamku też przyniósł od królewnej wiadomość, że i ona była rada przeciągniętej do ostatnich dni Czerwca elekcyi, aby mieć czas króla

Jana III przekonać, iż się o tron polski dla syna czynniej starać był powinien.

Cesarscy mieli nadzieję siły zebrać. Zamojski się ich spodziewał z Węgier. Tymczasem zaś Górka z prymasem pochlebiali sobie, że zmuszą hetmana do zgody, a potem go na cesarską stronę zjednają.

Natychmiast po podpisaniu aktu co żyło z Warszawy się wynosić poczęło, a byłby i Bajbuza pewnie wolał leżeć w Nadstyrzu niż tu, ale rana o podróży myśleć nie dozwalała.

Ludzi jednak tymczasowo musiano nie rozpuszczając po wsiach rozłożyć. Szczypior wierny pozostał z przyjacielem.

On, doktór Buccella i kilku dworzan królowej stanowili teraz kółko, otaczające Bajbuzę, który do zdrowia wzdychał jak do swobody, gdyż rana go w istocie niewolnikiem czyniła.

Życie, do jakiego był zmuszony, chociaż wśród poczciwych i przyjaznych ludzi, nie odpowiadało ani usposobieniu, ni nawyknieniom rotmistrza.

Na wojnie był on żołnierzem dzielnym i starczyło mu rycerskie zajęcie na życie; bezczynny potrzebował myśleć, czytać i na duchu pracować, czego teraz nie mógł czynić, bo mu na godzinę nie dawano w samotności pozostać.

Ludzie według własnego pojęcia wyobrażali sobie, że pozostawiony sam sobie nudzić się będzie. Zabawiano go więc na gwałt, a zabawienie musiał przyjmować z wdzięcznością.

Z jednym Szczypiorem mógł się nie zmuszać, i gdy się wyczerpała rozmowa czcza, odprawiał go, rozkazując sobie podać książkę.

Ale Buccella, który sam dużo pisał, dla chorego zajęcie umysłowe znajdował niewłaściwem. Zakazał więc czytania. Pogniewał się Bajbuza, włoch także i ledwie do zgody przyszło.

Dnie czasem utrapienia były do przeżycia trudne. Marzec wczesną zdawał się zapowiadać wiosnę.

Tęsknił za nią chory, obiecując sobie, iż gdy słońce zaświeci, może mu pod drzewa do ogródka wyjść pozwolą.

Gdy się tak wlokło leczenie, jeden z tych licznych posłów, których królewna Anna wyprawiała do Szwecyi, wrócił ze Stokholmu.

Był to niejaki Kaliński, młody dworzanin, żywy i roztropny, którego Anna rada była zawczasu zalecić siostrzeńcowi, aby mieć wiernego sługę u jego boku.

Kaliński jednak wybywszy kilka miesięcy, musiał z ważnemi listami przyjechać do Polski.

Można sobie wyobrazić, z jaką go tu ciekawością chciwie przyjmowano, począwszy od królewnej aż do sług i dworu, oczekującego na nowego pana.

Na usilne prośby chorego Buccela sprawił to, że Kaliński jednego dnia przyszedł rotmistrza odwiedzić. Lecz, że mu królowa szeroko rozpowiadać zawczasu o Zygmuncie wzbraniała, dla różnych interpretacyj, jakim powieści te podlegać mogły, oprócz Szczypiora i rotmistrza, nikogo nie dopuszczono.

Bajbuza postarał się o ujęcie sobie Kalińskiego naprzód gościnnem przyjęciem, jadłem i napojem, potem pańskim prawdziwie podarkiem rzędu na konia, któregoby się nie powstydził użyć daleko możniejszy od Kalińskiego.

Chłopak więc uszczęśliwiony, całkiem się w rozmowie otworzył przed rotmistrzem.

Bajbuzie, który aż do śmieszności się troszczył o przyszłość kraju, szło o to, czego się po Zygmuncie spodziewać było można.

Królowa ciotka, która jednego jego miała na świecie, straciwszy wszystkich, których kochać mogła i na ich miłość rachować, widziała w tym przybranym synu same doskonałości. Innym szło o to, jak go zimniejsze oczy i bezstronniejszy sąd miał ocenić.

— Mówże nam o przyszłym królu — zapyta

rotmistrz — jeżeli się my w nim pana spodziewać mamy?...

— O przyszłym panu? — podchwycił Kaliński, który trochę chłodnem jego obejściem się z sobą był zrażony— a cóż? tylko dobrze mówić można. To, co w nim widne, pochwały jest godne, a no bieda, że nie pokazuje rad, co w sobie piastuje, milczący jest, nad wiek swój poważny i ostrożny.

— Cóż on lubi? wojnę?—pytał Bajbuza.

— Chyba nie!—rzekł Kaliński.—Rycerskie wychowanie odebrał, nie jest mu obcem nic... ale żeby rozmiłowanym był w żołnierskiem życiu, uchowaj Boże!

— Coś przecież lubić musi! — podchwycił rotmistrz, kubek nowy nalewając Kalińskiemu, i dając znak Szczypiorowi, aby go zachęcał do picia.

— Naprzód pobożnym jest wielce—mówił Kaliński.—Nad tem wprzódy i Herbest czuwał, a teraz ks. Gołyński Jezuita nie daje mu ostygnąć. Pobożny bardzo.

— Ależ mnichem nie będzie—odparł Bajbuza.— Dobrze to jest, nie starczy jednak dla króla.

Kaliński się zadumał.

— No, naprawdę—dodał—ma on inne zabawki i upodobania. Ciekawy jest pięknych rzeczy, rad maluje i ze złota małe cacka wyrabia, muzykę lubi i nią się rozkoszuje. Toć to znaki dobrego serca.

— Ale ja w tem siły i energii nie widzę—odparł Bajbuza—a tej nam na gwałt potrzeba.

— Znajdą się one może, gdy się okoliczności do objawienia ich nastręczą—rzekł Kaliński.—Mówiłem że w sobie dosyć zamknięty; Bóg więc raczy wiedzieć co tam chowa.

— A powierzchowność?—badał Szczypior.

— Wzrostu średniego, postać piękna, pozór pański—odpowiedział Kaliński—płeć świeża, włos ciemnorudawy, śmiech przyjemny. Podobaćby się mógł, gdyby chciał, lecz więcej w nim widać obawy zdradzenia się z uczuciami, niż chęci pozyskania serc sobie.

— Hej! hej!—westchnął obracając się na łóżku swem rotmistrz — coś mi to wszystko, co mówicie, mętno i smutno wygląda. Żołnierzem gdy nie zechce być, to go nie pokochamy; siły i energii gdy nie okaże, że go się warchoły nie zlękną.

A wieź on, co się tu u nas dzieje?—dodał Bajbuza.

— Za morzem, to choć wieści dochodzą—dodał Kaliński—niezawsze one wierne. Król Jan dla syna się boi Polski, on sam pono, gdyby nie ciotka, którą kocha jak matkę od dzieciństwa, możeby też nierad Szwecyi rzucić.

Tu zamilknąwszy nieco, dodał ciszej Kaliński.

— Weźmiecie-li go, to i siostrę z nim Annę będziecie musieli razem, bo ona tam już nie znajdzie opieki; ale ta jak niebo do ziemi do brata niepodobna.

— Jako więc?—pytał rotmistrz.

— A no, on katolik jak już chyba gorliwszym być nie można—ciągnął dalej Kaliński—a królewna Anna do zboru będzie chodziła. Pracowali nad nią Jezuici, męczyli się, i porzucić musieli; księdza Gołyńskiego o mało żółć nie zalała, tak się tem gryzł, ale im ją goręcej nawracali, tem ona uparciej przy swojem stała i stoi.

Zamilczał Bajbuza.

— A co nam tam do królewnej—wtrącił Szczypior—niech sobie modli się kędy zechce.

— Pewnie—rzekł Bajbuza—ale na dworze walka powstanie, gdy i Jezuici i dyssydenci mieć będą opiekę. Dziwna to sprawa i niedobra. Co robić! Cóż na to królowa nasza?

— Spodziewa się, że ją katolicy nawrócą!— rzekł Kaliński—a ja wątpię, bo i brat i ona twardo stać przy swem nawykli.

— Król młody—rzekł Bajbuza—byle pana hetmana słuchać chciał, a dał mu się powodować, ten go bezpieczną poprowadzi drogą.

— Myślicie?—zapytał Kaliński i trochę się zawahał.—Aliści—dodał ciszej i nieśmiało—mnie się widzi, że na to się nie zanosi.

— Dlaczego? dlaczego?—przerwał żywo rotmistrz.

Zmięszał się jakoś Kaliński i przez chwilę milczał.

— Zkad o tem wnosicie?—powtórzył rotmistrz—mówcie otwarcie, my was tu nie zdradzimy.

— Dlatego mi się tak widzi—zniżając głos rzekł gość—że i dawniej i teraz królowa w listach zawsze utyskiwała na zbytnią przewagę hetmana. Jemu przypisywała ona, iż Batorego znienawidzono, a kraj się cały prawie oburzał na okrucieństwo. Młody więc pan zawczasu jest przestrzeżonym, aby się nie poddawał.

Rotmistrz głową poruszył.

— Źleby było, gdyby bez przewodnika iść chciał—odezwał się—nie znając drogi. Ktoś mu tu potrzebny. Jezuici nie starczą. Do zbawienia pokażą mu pewnie najpewniejszą ścieżkę, ale w sprawach kraju, kapłan inaczej widzi i radzić musi inaczej. Bez Zamojskiego jak bez ręki nie potrafi się obejść. Odepchnie go, uczyni sobie nieprzyjacielem, a walka będzie niebezpieczna.

— Boże uchowaj, aby się te wasze presumpcye sprawdzić miały—dołożył Bajbuza.—Wiele ran goić mu przyjdzie, a nowych rozterek szukać... uchowaj Panie!

Z tego obrazu, jaki malował Kaliński, niewiele mogli wyciągnąć pocieszającego słuchający. Ale też Zygmunt obranym jeszcze nie był, choć już dziś przewidywać należało, że Zamojski z obawy i wstrętu ku niemu się skłoni, a za nim pójdzie wielu. Królowa do statniego niemal grosza już, ujmując sobie ludzi, wysypała. Bartowie niewiele się spodziewać mogli, zostawało więc dwu tylko kandydatów: Zygmunt i Maksymilian. Jeden lub drugi obranym być musiał.

Kaliński przychodził niemal codzień zabawiać chorego, który na gwałt się zrywał z łoża i Buccella ledwie go mógł utrzymać w spokoju postrachem pogorszenia rany, bo z niej jeszcze odłamki kości wychodziły.

Ze dworu królowej Szczypior sprowadzał i innych ichmościów, aby Bajbuzie nie dać tęsknić za ludźmi.

Nie zbywało więc na wiadomościach z kraju, bo królowa, która w ciągu panowania Stefana zupełnie była bezczynną i odsuniętą od wszelkich spraw publicznych, teraz znowu z gorączkową gorliwością popierała sprawę siostrzana i śledziła pilno, co się w całej rzeczypospolitej działo.

Niemożna było jeszcze przewidzieć, jak elekcya wypadnie, bo cesarskie stronnictwo miało za sobą Rzym, a zręczny i przebiegły Annibal z Kapui, choć przed królową zaręczał, że Stolicy apostolskiej idzie tylko o wybór gorliwego katolika, mocno przeciwko Szwedowi za rakuszaninem chodził, duchowieństwo starając się na jego stronę przeciągnąć.

Litwa w znacznej części dla spokoju była za w. kniaziem moskiewskim, ale sama jedna przeprowadzić go nie mogła. Inni kandydaci wcale Zygmuntowi nie byli straszni.

Wszystkie pogłoski o zabiegach Górki, Czarnkowskiego i ich stronnictwa, zbiegły się na dworze królowej, a ztąd przynoszono je do dworku rotmistrza, w którym teraz więcej było życia niż w całem mieście.

Przysposabiano się jednak do elekcyi, którą przewidywano burzliwą i niełatwą. Z obu stron gotowano się do niej jak do wojny.

Dyssydenci z Górką i Zborowskimi rachowali na zaciągi zagraniczne, na żołnierza obcego z Niemiec, z Czech, a nawet Włoch i Francyi; Zamojski na prusaków i inflantczyków, lecz daleko więcej na szlachtę, która w nim miała zaufanie i mimo obawy przewagi, widziała w hetmanie rękojmię, utrzymania porządku i bezpieczeństwa osób i mienia.

Odgróżki Zborowskich przeciw osobistym ich

nieprzyjaciołom, zamiast ustraszyć, coraz bardziej przeciw nim oburzały.

Pomiędzy dwoma obozami i ich czynnościami ta zachodziła różnica, że Zborowscy postępowali sobie wrzawliwie, huczno, groźno, gdy hetman z powagą i spokojem do ostatecznej walki się gotował.

Wolałby był z pewnością Zamojski jednego z Batorych; być bardzo może, iż chwilę jakąś łudził się tem, że jako Piast sam obranym być może. Bezkrólewie przekonało go, że marzenia te ziścić się nie miały najmniejszego widoku, a mnożąc słabe stronnictwa, cesarskimby tylko posiłkowały, musiał się więc zbliżyć do królowej.

Dla Anny było to najpożądańszem, bo, choć się obawiała hetmana i żal miała do niego, czuła, że bez jego pomocy się nie obejdzie. Zamojski potajemnie zniósł się z nią i słowne stanęły umowy, że hetman poprze Jagiellońskiej krwi potomka.

Nikomu to może żywszej nie sprawiło radości nad Bajbuzę, który się lekał rozdwojenia, a z wielką większością szlachty wstręt miał do rakuszanina, bo imię jego miało znaczenie *absolutum dominium*, niewola.

Kaliński, który czekał w Warszawie na listy, aby znowu z niemi do Szwecyi płynąć, tymczasem przychodził do rotmistrza, zabawiał go i przynosił mu najświeższe wiadomości. Na zamku—powiadał—panowała obawa i niepokój o Litwę, której część tylko królowej zjednać się udało, o podstępne knowania rzymskiego posła, o zuchwalstwo Zborowskich, nawet o samego króla Jana, niechętnie patrzącego na wybór syna. Oprócz tego brakło najpotrzebniejszej sprężyny wszelkich czynności — pieniędzy. Królowa do ostatniego grosza wydała co miała, Zamojski wyszafował swoje i co pozostało po Batorym, a dało się od rodziny wyzyskać.

Gdy Kaliński tak jednego dnia lamentował przed Bajbuzą na niedostatek, szepnął mu coś rotmistrz na

ucho. Kaliński wstał i natychmiast na zamek pośpieszył, a w parę godzin potem powrócił nazad. Znowu tedy szeptano pocichu, a wieczorem Bajbuza w złotym humorze powołał do siebie Szczypiora.

Począł od tego, że go uściskał.

— Słuchaj, Szczypior — rzekł — nie łaj mnie. Powiadasz, że ja się nad siły zmagam, trzymając na swym żołdzie sto koni i ludzi, alem ja na świecie sam jak palec... jeżeli krajowi służyć nie będę, tom się nikomu na nic nie zdał.

A no, na tych stu kopijnikach niedość.

Szczypior się zżymnął.

— Na rany pańskie! — zawołał — toż to wam ostatni grosz wyssie!—Czyż jeszcze małe?

— A mało!—odparł Bajbuza—my od tej rzeczypospolitej wszystko mamy, powinniśmy być gotowi zawsze oddać jej wszystko. Matka jest, dla matki zawielkich ofiar niema, choćby życie przyszło dać. Tymczasem, tu zniżył głos, królowa się do ostatniego halerza na elekcyę wyszafowała, hetman ledwie ostatnich dziesięć tysięcy od Batorych wyrwał na wojsko, sam już niema w skarbonie nic.

A pięknież to, że u mnie w kowanych skrzyniach w sklepie w Nadstyrzu tyle grosza leży napróżno? Na co mi się on zda, gdy ojczyzny nie poratuję?

Rachowałem na waszeci—dodał wesoło Bajbuza—bo sam się ruszyć nie mogę dla tej rany przeklętej, lada kogo zaś do ula i miodu dopuścić niemożna. Nie wódź nas na pokuszenie! A tu mi trzeba dla królowej JMci dwadzieścia tysięcy przywieźć i to nie zwlekając!

Klucza, oprócz ciebie, nikomu nie mogę zwierzyć — dodał rotmistrz, powoli z szyi zdejmując na łańcuszku zawieszony, który podniósł do góry.

— Jedź bracie do Nadstyrza i przywieź ten nieszczęsny *nervus rerum*, bez którego na świecie nic.

Szczypior wąsa zakąsywał, co miał we zwyczaju, gdy był w trudnym razie. Z żołnierzem, z ludźmi,

choćby z najrozszalańszą hałastrą do czynienia mieć, nie obawiał się; na nieprzyjaciela skoczyć, choćby przemagającego, gotów był zawsze, ale od gospodarowania około pieniędzy wymawiał się i obawiał go.

— Już ty mnie—odezwał się mrukliwie do rotmistrza — użyj kędy i jak chcesz, wiesz, że się nie wzdrygnę, pójdę, ale z pieniędzmi ja się nawet obchodzić nie umiem.

Ręce walają...

— Do twoich brud ich nie przystanie — odparł rotmistrz śmiejąc się—zresztą, dla samej dogodności w przewiezieniu talarami nie dam, ino złotem, a to rzecz czysta.

Szczypior posmutniał.

— No, i ty tu chory, sam, z tym, z pozwoleniem, smarkatym Kalińskim pozostaniesz i z Buccellą, który więcej o nabywaniu dóbr i robieniu majątku myśli niż o chorych.

— Mylisz się, jeszcze więcej myśli o pogrzebieniu Simoniusza i biją się na trumnie króla nieboszczyka gęsiemi piórami aż strach.

Ale do rzeczy. Jutro jedziesz do Nadstyrza. Najlepszych ludzi, konie, wozy weź z sobą; ruszaj bez zwłoki i przywoź mi dwadzieścia tysięcy.

— Ależ to majątek! — zawołał Szczypior — cóż ty z tem zrobisz?

— Prosta rzecz, pożyczę królowej—dodał Bajbuza—a że i nasza kasa dla tej choroby mojej doktorami i apteką wyczerpana, kilka tysięcy i nam się przyda.

Pieniądze leżą.

Szczypior słuchał zdumiony.

— Drzwi do piwnicy pod podłogą sypialnej izby—mówił dalej rotmistrz—pokaże ci Sawka stary. Znijdziesz po wschodach, a oto masz klucz, który ci pierwsze drzwi otworzy. W prawo od nich jak ręką sięgnąć, w murze cegła jest ruchoma, a w komórce za nią kluczy reszta, która drugie zamki ci odemknie.

W piwnicy, znowu na prawo skrzynia z workami, każdy z nich po tysiącu złotem.

Sawka ci pomoże wynieść do skrzyni podróżnej, włożycie ją nawóz, okryjecie workami i skórą, wiu! ha!... i napowrót tu do mnie!

Bajbuza mówił to z taką radością, jakby nie ofiarę czynił, ale dobrodziejstwo odbierał.

— Królowej posłużyć—rzekł—wielka to cześć dla mnie i pociecha, a bez tego złota i Nadstyrze i ja się obejdę łatwo!

Szczypior ciągle wąsa kąsał.

— Wolałbym, żebyś mi izbę kazał zamiatać—zawołał w końcu.

— Szczypior mój—wtrącił Bajbuza—nie pytam czy ci to miło, czy nie, aleśmy sobie wzajem wszyscy służyć powinni. Musisz jechać.

— Jużci pojadę—odparł smutnie chorąży—bo niema rzeczy, którejbym nie uczynił dla ciebie, ale bodajbyś pieniędzy nie miał nigdy, kiedy ja je mam wozić.

— Wiosna śliczna, konie dobre, droga znajoma—rozśmiał się Bajbuza—nie kwaś się daremnie. Jedź i po wszystkiem.

Wieczorem, gdy Szczypior już swoje sakwy przysposabiał do podróży, nadszedł Kaliński.

— Powiedz królowej — odezwał się do niego rotmistrz — iż jutro wysyłam po pieniądze dla niej. Dali Batorowie Zamojskiemu dziesięć, ja królowej pożyczam dwadzieścia, aby spokojną była. Odda mi gdy zechce i będzie mogła.

Kaliński, który się nie spodziewał, aby jego utyskiwania tak szczęśliwym były uwieńczone skutkiem, chciał natychmiast na zamek powracać, aby dać znać Annie, ale go Bajbuza powstrzymał.

— Niemasz się czego śpieszyć—rzekł—najlepiej będzie gdy pieniądze przywiozą, wprost je oddając, sprawić niespodziankę.

— Ale tymczasem zmaga się i frasuje—wtrącił Kaliński—pocieszy się i uspokoi.

Nie dając się długo zatrzymać, chłopak powrócił na zamek zaraz, a choć królowa z fraucymerem już była na wieczornych modlitwach, kazał oznajmić, iż w pilnej przychodzi sprawie. Nastraszyła się nieco królowa, bo w ciągłej niepewności, zmęczona, wszystkiego się teraz obawiała, ale rozjaśniona twarz Kalińskiego uspokoiła ją.

— Najjaśniejsza pani — zawołał kłaniając się rozpromieniony chłopak — przynoszę dobrą nowinę. Rotmistrz Bajbuza, rzadki człek, bo jemu podobnych ze świecą szukać, dwadzieścia tysięcy złotych na potrzeby W. Król. Mości kazał przywieźć z domu i jak tylko nadejdą, złoży je u nóg waszych.

Królowa Anna zrazu nie wierzyła uszom.

— A cóż on chce za to?—zapytała zdumiona.

— On? on prosi tylko, abyś W. Kr. Mość przyjęła je, nie frasując się o oddanie. Człek to do innych niepodobny, i dlatego może Zborowscy go postrzelili, aby nie dawał złego przykładu drugim.

Jutro jedzie zaufany jego przyjaciel i pośpieszy z powrotem.

Złożyła ręce królowa.

— A! niechże mi go Buccela rychło do zdrowia przyprowadzi—zawołała—abym mu choć podziękować mogła; da-li Bóg, że mój Zygmunt obranym zostanie, postaram się oto, aby mu dobre jego dla nas serce zawdzięczył. Powiedz mu to Kaliński.

— Uchowaj Boże! — szepnął chłopak, który już znał Bajbuzę—obraziłby się, gdyby mu nagrody nadzieję uczyniono.

Na zamku poweselało zaraz, ale we dworku rotmistrza też, który czuł się coraz lepiej, a o Zborowskich odbierał wiadomości coraz im mniej pomyślne; wszyscy byli dobrej myśli.

Zamojskiemu przybywali sprzymierzeńcy, Tęczyński wojewoda krakowski, Zborowskim niechętny

jak cała rodzina, od czasów Samuela i Wapowskiego, Szafraniec wojewoda sandomierski, na Litwie wojewoda wileński Radziwiłł, nie licząc Żółkiewskiego, Opalińskiego, podkanclerzego Baranowskiego i innych.

Ponieważ cesarscy jawnie wtargnięciem zbrojnem zagrażali, druga też strona musiała w ludzi się i zaciągi wcześnie sposobić, aby módz siłę odeprzeć siłą.

W maju wstał nareszcie Bajbuza, mogąc się przechadzać z ręką na podwiązaniu, wychudły i znękany, ale ducha podnieconego i niecierpliwy, aby mógł czynnie wystąpić a przydać się na co.

Szczypior, wedle wszelkich rachub mający być z powrotem, opóźnił się, co rotmistrza niepokoiło, nie o grosz, którego bezpieczeństwa był pewnym, ale o człowieka.

Pierwszych dni czerwca chorążego jeszcze z powrotem nie było.

Codzień prawie przychodził się o niego dowiadywać Kaliński i odchodził z niczem smutny. Królowa nie śmiała go już pytać, badając tylko oczyma.

Naostatek Bajbuza najżwawszemu ze swych ludzi, najlepszego konia dosiądz rozkazawszy, wyprawił przeciw chorążemu, aby powrót jego przyśpieszył.

V.

Bajbuza siedział wieczorem pode dworkiem w cieniu starych lip, które już bujny liść okrywał, i zabawiał się rozmową codzień powstającą o zaciągach, o oddziałach, o knowaniach Czarnkowskiego i Górki, gdy ponad płotem otaczającym podwórko ukazała się twarz uśmiechnięta, ogorzała i rumiana Szczypiora.

Zerwał się rotmistrz, naprzeciw niemu biegnąc z otwartemi rękami.

Chorąży właśnie z konia zsiadał, a wozy idące za nim nadciągały i przy nich wysłaniec, co ich powrót miał przyśpieszyć.

— Szczypiorze, leniwcze—krzyczał ściskając go Bajbuza—a cóż się z tobą stało... jużem oczy wypatrzył, piersi wywzdychał za tobą, a kląłem, co wlezie!

— A no! nie mogło być inaczej—rzekł węzłowato chorąży.—Śpieszyłem jakiem mógł; gdy się dowiesz dlaczegom się opóźnił, sam mi to pochwalisz.

— Nie! Jeżeliś koni oszczędzał—odparł Bajbuza—nie miałeś racyi, jeżeli siebie...

— Ale ktoby tam o sobie myślał! — przerwał oburzony Szczypior. — Ot to mi pięknie, człowieka o to posądzać.

— Więc cóż masz na obronę?—zapytał rotmistrz.

Szczypior znowu przygryzał wąsa.

— Chodźmy do izby—rzekł—rozmówimy się.

Bajbuza zniecierpliwiony nalegał.

— Anibyś ty mógł odmówić, ani jam się wymawiał od tego—rzekł Szczypior.—Księżna Sapieżyna, miła twoja sąsiadka, wybierała się do Warszawy, do królowej JMci, na której dworze wychowaną była. Dwór ma własny nieliczny, prosiła mnie, abym jej towarzyszył. Rozumiesz, iż z niewiastą się nie tak pośpiesza jak samemu z czeladzią. Ztąd zwłoka.

— Jakto?—zakrzyknął uradowany Bajbuza, nie mogąc ukryć, jak mu ta wiadomość miłą była. — Księżna jest tu?

— Właśnie gdy my tak o niej rozprawiamy, zajeżdża na zamek w gościnę, do dawnej pani— rzekł Szczypior kłaniając się.—Ślem zrobił?

Uściskał go w milczeniu Bajbuza.

— Ale cóż ją pod ten czas, gdy się na burzliwą elekcyę zabiera, mogło sprowadzić?

— Nie wiem—rzekł uśmiechając się Szczypior.— Niespokojna była o królowę, ciekawą może, naostatek i o waszmościnem zdrowiu rada się była naocznie przekonać, bo tam rozniesiono wiadomość, żeś rękę utracił.

— Ah!—przerwał rotmistrz—o mnie się pewnie troszczyła najmniej. Prawdziwym powodem, że się jej na wsi nudziło, a królowa może dała jej wiedzieć, że radaby ją widziała.

Zwrócił się do Szczypiora.

— Może w tem i coś więcej jest, o czem ty nie wiesz, bo królowa radaby wdowę młodą wyswatać i ma pono dla niej napatrzonego na Litwie magnata. Kaliński mi o tem wspominał.

Gdy tak rozmawiali, czeladź tymczasem z wozu ciężką skrzynię wnosiła pod dach, do sypialni pańskiej, a tuż i Kaliński zwietrzywszy, że pieniądze nadejść musiały, natychmiast się stawił.

Bajbuza był już w siłach odziać się i sam stawić przed królową, przynosząc jej swą ofiarę, ale mu ta myśl wstrętną była. Musiałby podziękowań słuchać, a może obietnic. Z drugiej strony wabiła go do zamku przytomność księżnej, za którą tęsknił, lecz ze dwojga pierwsze, wstręt do pochwalania się z tem co czynił, przemogła. Spojrzał na rękę swoją.

— Buccella mi zakazuje ciasnej sukni wdziewać i ręki męczyć, do zamku więc jechać nie mogę, królowej pilno. Szczypior mnie wyręczy i z Kalińskim pieniądze zawiezie.

— A wy? — zapytał chorąży.

— Ja? no, pozostanę tu na ławie pod lipą — dodał Bajbuza — i po wszystkiem.

Po obiedzie więc, jak postanowił, worki znowu w mniejszy sepecik zamknąwszy, Szczypior posłuszny zawiózł je królowej.

Spodziewała się widzieć rotmistrza, i zapytała o niego zdumiona.

— Przyjaciel mój — odparł Szczypior—kazał mi przeprosić W. Król. Mość, iż sam przybyć nie mógł. Ręka mu jeszcze dolega, a Buccella broni ją męczyć

i odziewać się. Choć pragnął więc, ale sam się stawić nie zdołał.

— A cóż wam zlecił?—spytała Anna—w rzeczy tych pieniędzy, które mi pożycza?

— Nic, oprócz, żebym je u stóp W. Król. Mości złożył—dodał kłaniając się Szczypior. — Innego polecenia nie mam.

Wtem księżna Teresa, która może w nadziei zobaczenia Bajbuzy wyszła była razem z królową, spytała cicho Szczypiora.

— Jakżeś go waszmość znalazł? Chory jest jescze?...

— Chorobą tego nazwać nie można — odparł Szczypior. — Żołnierzowi rana, to tak jak miłościwym paniom, gdy która się przy krośnach igłą zakole. Niema się co wiele troszczyć... ale palce zawiązać potrzeba.

Uśmiechnęła się królowa.

— Rotmistrz—dodał chorąży — musi o to dbać, aby ranę wygoił, bo elekcya za pasem, a tam może na nową się przygotować nam potrzeba. Chce być zdrów, aby na koń siąść i panu hetmanowi lub wojewodzie ruskiemu stanąć do boku.

Królowa podniosła oczy do góry.

— Bóg nas uchowa od rozlewu krwi — rzekła i elekcya się odbędzie spokojnie. Może ja to po kobiecemu sądzę, ale mi się zdaje, że im większe siły z obu stron się gotują, tem pewniej walki nie rozpoczną, boćby brat przeciw bratu stawać musiał.

Księżna podchwyciła żywo.

— A! wymodlemy u Boga, że nas od tej największej klęski uchroni.

Na tem się skończyła rozmowa, a Szczypior pożegnawszy się, chciał już wyjść, gdy na bok odwołała księżna.

— Pozdrówcie rotmistrza odemnie—rzekła śmiejąc się—i powiedzcie mu, że radabym mu za eskortę podziękowała. Niechże prędko zdrów będzie.

To mówiąc i zarumieniwszy się jak dzieweczka, skłoniła się chorążemu i pośpieszyła za królową.

Nazajutrz sekretarz królowej przybył z zapytaniem, jak ma skrypt, który ona wydać chciała na pożyczone pieniądze, ułożyć. Bajbuza go spoił, nakarmił i odesłał z odpowiedzią.

— Powiedz waszmość królowej, żem ja nie żyd, ani lichwiarz, pieniądze rad daję, a jej zostawiam obmyślenie, jak i co napisać zechce. Mnie to obojętne, spokojny jestem.

Jak gdyby przy lepszej myśli i sił przybyło Bajbuzie, od tej chwili cudownie się krzepił, a rana goiła na podziw, co Buccella swoim smarowaniom i maściom przypisywał i chwalił się z nich przed królową. A że na myśli wojnę z Simoniusem miał ciągle, nie wstrzymał się od dodatku.

— Radbym, ażeby ten nieuk, ten szalbierz ranę był widział i kości, które z niej wychodziły, i jakem gojenie prowadził, a rękę znowu tak uczynię, silną jak była!

Kto wie, kość nowa może jeszcze twardsza będzie niż pokruszona.

Próba wkładania sukni poszła szczęśliwie i ręka też podwięzywania nie potrzebowała, a że Bajbuzie bardzo pilno było znowu na koń siąść, lice ująć, i przygotować się do elekcyjnych niewczasów, nie słuchając więc już lekarza. sam sobie dał swobodę zupełną i naprzód jej użył, aby do kościoła pójść Panu Bogu podziękować, że kula nie w głowie utkwiła, potem zaraz na zamek się stawić.

Że do królowej JMci idąc, wystroił się w najlepsze szaty jakie miał, to się samo z siebie rozumie, ale Szczypior milczący rozumiał, że nie na samą królowę miał baczność, starając pańsko i rycersko wystąpić.

Prześladował go księżną, ale rotmistrz z żywością wielką się opierał posądzeniom.

— Daj ty mi pokój—mówił—ja sobie kobietami

głowy nie zaprzątam, ani je znać chcę. Złote, powiadają, jarzmo małżeńskie, ale gdyby było i drogimi kamieniami sadzone, wolę mieć szyję swobodną, niż je sobie nakładać. Księżnę wielce szanuję, ale i ona niewiastą jest, a ja się ich boję.

Człowiek żonaty nie rad z domu, ociężeje, przyjdą dzieci musi dla nich zbierać, więc nic już nie może, ręce związane... Światu z niego nic. Daj mi pokój.

Na zamku jak się spodziewać było można, od królowej JMci doznał najwdzięczniejszego przyjęcia.

— Niech Bóg waszmości zapłaci — odezwała się wzruszona ze łzami na oczach — iżeś miał litość nad wdową, która tej rzeczypospolitej życie swe całe i mienie poświęciła, a teraz co ma najdroższego radaby jej dać. Weźcie Zygmunta, którego ja za syna mego dawno adoptowałam. Strzegłam i pilnowałam teraz wraz z siostrą, aby się wychował jak przystało królowi polskiemu. Katolik gorliwy, języka dobrze świadom, czuję się dziecięciem tej ziemi, jako ja. Bóg da, szczęśliwie wam panować będzie. Ja tego tylko dożyć pragnę, aby mu jagiellońską koronę na skroń włożyć.

— Miłościwa pani — odezwał się Bajbuza — my też wszyscy z serca tego pragniemy, aby on nam panował, a gdy hetmana ma za sobą, oczem nie wątpię, pewnym być może, iż rakuzkiego kandydata zwycięży. Potrzeba tylko, aby, da-li Bóg, wybrany zostanie, corychlej tu sam przybywał i rządy objął, bo rakuszanie wichrzyć nie omieszkają.

Wszczęła się tedy rozmowa zaraz w tym przedmiocie, który królowę najżywiej obchodził i przeciągnęła tak, że Bajbuza ledwie stojąc w orszaku królowej księżnę mógł powitać zdaleka.

Wydała mu się teraz po kilku niewidzenia miesiącach jeszcze piękniejszą niż kiedykolwiek, zachwycającą, a choć przed Szczypiorem niewiast się zapierał, oczu od niej oderwać nie mógł.

W czasie tego posłuchania właśnie oznajmiono

arcybiskupa Solikowskiego, a rotmistrz usunął się na stronę i miał teraz zręczność bliżej księżnę widzieć, a rozmówić się z nią.

Dziękowała mu naprzód za Szczypiora, dowiadywała się o zdrowie, a rotmistrz ją zapytał, czy długo tu bywać myśli.

— Sama nie wiem — rzekła — czasem mi się zdaje, że królowej jestem potrzebną. Następują chwilę, w których się dla niej ważne losy korony tej rozstrzygać będą. Nie zawadzi, gdy ją życzliwe serca otoczą. Jam wszystko jej winna, a choć służbą powolną chciałabym się wypłacić.

— Będziesz więc księżna — odezwał się Bajbuza — patrzeć na te smutne rozterki nasze, które na elekcyi wybuchnąć muszą.

My się gotujemy mężnie stawać przy hetmanie. Spodziewamy się, iż siły zbierze, ale jaki temu koniec Pan Bóg da. On tylko wie.

— Dobry! dobry! — podchwyciła księżna.

Zawahała się nieco i dodała.

— Jam tu teraz na tym dworze tak jak obca. Osób się wiele zmieniło. Nie potrzebuję was prosić, nie mając opiekuna, abyście jako sąsiad mój pamiętali o mnie. Wdowa jestem.

— Ale długo nią nie pozostaniecie — rzekł Bajbuza wesoło. — Co do mnie, mówić nie potrzebnję, żem tu jak wszędzie gotów na usługi wasze. Wdzięczen będę, gdy mi pozwolicie pisać się sługą.

Skłoniła się księżna. Spojrzeli sobie w oczy.

— Waćpan zmizerniałeś przez tę ranę — rzekła.

— A księżna pani odmłodniałaś z tą wiosną — przerwał Bajbuza. — Jam się haniebnie wymęczył, nietyle cierpieniem, co bezczynnością. Drudzy się krzątali, jam leżeć musiał przykuty, jeżeli nie do łoża, to do izby. Dla mężczyzny taka niewola śmierci się równa. Ale teraz — dodał wesoło siądę na koń i wyciągnę w pole z podwójną ochotą i rozkoszą, bom wygłodniał!

— Królowa mi zestarzała — szepnęła księżna przedłużając rozmowę — cierpiała też wiele.

— Odżyje gdy siostrzeńca zobaczy—rzekł Bajbuza.

— O nim tylko mówi i marzy—dodała księżna.— Winien też jej Bóg miłosierny, aby tę pociechę miała i na tronie go ujrzała.

Królowa wychodziła z sali, więc i księżna z nią, pożegnawszy uprzejmie Bajbuzę, ustąpić musiała. Wrócił do domu rotmistrz rozmarzony i Szczypior nawet postrzegł, iż choć nic w ustach nie miał, jakby upojonym się wydawał.

A że kłamać i udawać nie umiał, przyznał się, że mu miłem było i królowę widzieć i swą sąsiadkę księżnę, za którą tęsknił.

Szczypior się ośmielił odezwać.

— Toć chyba dobrowolna tęsknota, bo wam panie rotmistrzu, łacnoby było na nią patrzeć zawsze.

To mówiąc się uśmiechał

— A to jak? — zapytał Bajbuza.

— Przecież ona wolna i wy także — odezwał się Szczypior.

— Co się waćpanu śni — odparł na to Bajbuza ramionami ruszając. — Jam prosty szlachcic, a ona księżna; ona młoda, ja poczynam siwieć; piękna, jam brzydki... jestże mi się tu porywać z motyką na słońce.

Chorąży się uśmiechnął.

— Prezumpcyi za wiele, wada wielka—odezwał się — ale też za małe o sobie rozumienie, szkodzi w życiu. Księżnaby wyszła za was z ochotą wielką, a tak, to ją jaki Kostka wam z przed nosa pochwyci.

— Kostka? Jaki Kostka?—podchwycił poruszony romistrz — o żadnym Kostcem nie słyszał.

— Mnie o nim Kaliński rozpowiadał—odezwał się Szczypior. — Syn to jest wojewody sandomierskiego, który się tu przy dworze królowej za kobietami kręci i sławę z tego ma, że im głowy zawraca. Pierwszy strojniś i zawsze najpiękniej ubrany, ale

to fraszka, gdyby mu natura nie dała twarzy, która niewiasty zachwyca. Chwalą go niepomiernie, a nawet i z tego, że piękniejszych, bielszych rąk u mężczyzny nie widziały.

Śmiał się Szczypior patrząc na swoje, które czarne były i namulane, a i Bajbuza, choć dosyć kształtne miał, widać na nich było, że często łuk naciągały, a popręg i siodła i oręża chwycić się nie wzdragały.

— Mój Szczypiorze—odezwał się — jeżeli mężczyzn z białych rąk cenić będą, ja nie stanę w rzędzie kompetytorów do nagrody. Męzka dłoń namulaną być powinna. Wstydziłbym się, gdyby mnie z waszym Kostką utrapionym zbiałych rąk chwalono.

— Po wielu innych — ciągnął dalej przyjaciel Szczypior — powiadają, że teraz Kostce nasza księżna bardzo w oko wpadła. Porzucił wszystkie inne, którym się zaleca, i teraz prawie z zamku nie wychodzi.

Zadumał się Bajbuza.

— Radbym go poznał — rzekł.

O, to nie będzie trudno — mówił Szczypior — wszędzie go pełno. Hej! hej! żalby było księżnej za jednookiego.

— Drwisz ze mnie, czy co? — podchwycił Bajbuza — pięknym go mienisz, upodobanym kobietom, a mówisz, że jednoki jest.

— Tak, bo choć oczu ma dwoje, ale na jedno nie widzi — dodał Szczypior — o czem nie lubi aby mówiono. Na oku tego nie znać, że go niezręczny cyrulik przed laty pozbawił.

Chwilę zaledwie pomyślawszy Bajbuza dodał.

— Cóż Kaliński mówi, jak księżna jest dla niego?

— Wcale grzeczną i uprzejmą ma być — rzekł Szczypior.

Rotmistrzowi zadrgała twarz.

— Chwała Bogu!—rzekł szybko—chwała Bogu. Radbym ją widział ubezpieczoną i zamężną. Wdowieństwo dla tak pięknej i młodej niewiasty, przy

swobodzie jaką daje, niedobre jest. Księżna jej nie nadużyje pewnie, to prawda, ale dosyć dwu takich panów Kostków, aby potwarz na nią rzucono. Bylem wojewodzica sandomierskiego poznał, sam mu dziewosłębem gotówem być.

Szczypior ramionami ruszył.

Tymczasem o swataniu, o Kostce i o kobietach nie pora było myśleć, a nazajutrz już rotmistrz musiał kopijników swych ściągających się lustrować i nanowo oddział swój doprowadzać do porządku. A ponieważ żywiej się poruszać mogło przypaść w tej wojnie, którą przewidywano, i Szczypior i Bajbuza, postanowili ludziom swym, miasto całych kopji długich, dość ciężkich i w obrotach w polu niezręcznych, dać lekkie, połowiczne, które i ściągnąć i zaopatrzyć było potrzeba w proporce z barwą, po którejby się ludzie łacno poznawali. Oprócz tego od karwaszów począwszy do płat na nogach, każdą zbroję dowódzca pilny obejrzeć musiał, i w worek u siodła żołnierzowi zajrzeć, czy w nim zamiast łyk, pęt, noża, szydła i t. p. nie wetknął flaszki z gorzałką.

Dni więc schodziły szybko obu dowódzcom, a rotmistrz temu zajęciu rad był, chociaż mu się serce razem krajało.

— Gdybyżeśmy się na nieprzyjaciela wybierali—mówił—radowaćby się można, ale kto wie przeciw komu i rusznice i kopie skierować będziemy musieli. A wszystkiemu winni warchołowie jak Górka, dla których nic świętego niema.

Kopijnicy na ostatek z nowemi proporcami, z odnowioną bronią, w świecących jak zwierciadła zbrojach byli gotowi, i gdy się rotmistrz dowiedział, że hetman do Warszawy się zbliża, ruszył razem ze Szczypiorem na spotkanie jego nocą, aby orszak Zamojskiego pomnożyć.

W mieście już wiedziano o tem, że hetman ciągnie i wiadomość ta przyczyniła się do uspokojenia umysłów; doznano bowiem na sejmie konwokacyjnym, jak bez niego o ład było trudno.

Przybywał Zamojski pierwszy jakby gospodarz i dozorca, aby później nadciągającym nie dopuścić nieładem i samowolą mięszać porządek.

Miasto się wysypało patrzeć na wspaniały ten wjazd, który z okazałością pańską, powagą wielką, w spokoju i karności się odbył.

Ludu, dworu, rycerstwa, oddziałów broni różnej, ochotników jak Bajbuza liczba znaczna bardzo towarzyszyła hetmanowi; szły wozy, wieziono namioty, a że w polu stać musiano, wszystko co w obozie potrzebnem być mogło. Nie obyło się i bez ciurów wlokących za rycerstwem, ale Zamojskiego ciury nawet, jak powiadano, lepiej wyglądały niż niejednego żołnierze.

Przy odgłosie surm, trąb, bicia w kotły, z rozwiniętemi chorągwiami, Zamojski konno w towarzystwie Żółkiewskiego, Dulskiego i znacznej liczby rycerstwa przeciągnął przez miasto i połączywszy się z marszałkiem Opalińskim, który nań czekał, wprost na miejsce sobie wyznaczone przez niego jechał, obozem się rozkładając pomiędzy Powązkami, folwarkami miejskiemi i wałami. A że od napaści pewnym być nie mógł, i mniejszą, choć dzielnego żołnierza liczbą rozporządzał, natychmiast się okopywać kazał.

Nazajutrz, nim jeszcze wojewoda poznański nadszedł ze swą zgrają ogromną, hetman z wybranym pocztem, do którego Bajbuza należał, pojechał naprzód na zamek do królowej, już na niego oczekującej.

Wielka tu panowała radość, bo choć Anna żal miała do Zamojskiego i obawiała go się, teraz na nim wszystkie jej spoczywały nadzieje.

Spotkanie było zimne może, ale z obu stron życzliwe i otwarte, o ile być mogło. Hetman oświadczył królowej, iż Zygmunta popierać będzie.

— Chociażby nam, tej na rycerstwie i żołnierzu stojącej rzeczypospolitej — rzekł — zdał się doświad-

czony wódz, ale mamy nadzieję, że przyszły pan nasz na ludzi doświadczonych radzie się opierając, z dobrą wolą, podoła temu posłannictwu, jakie Bóg włoży na jego ramiona. My mu wszyscy krwią i mieniem służyć gotowiśmy, jakeśmy nieboszczykowi służyli.

Zmięszana królowa żywo zaręczać zaczęła hetmanowi, iż siostrzan jej ludzi zasłużonych oceni i pójść za nimi nie omieszka.

Rozmowa przeszła zaraz na niebezpieczeństwa chwili, na knowania cesarskich, na Litwę, mówiono o Zborowskich i królowa Anna uradowana okazanem jej poszanowaniem, odetchnęła swobodniej po widzeniu się z Zamojskim, śpiesząc za nie Panu Bogu podziękować.

Chociaż o usposobieniu nuncyusza Annibala z Kapui bardzo był dobrze uwiadomionym Zamojski, natychmiast do zamku pojechał z całą swą komitywą pokłonić się arcybiskupowi Neapolu, aby go publicznie, głośno i jawnie zapewnić, że jako wierny syn kościoła, nie spuszczając z oczu spraw religii katolickiej, w przyszłej elekcyi działać będzie.

Chytry włoch, który codziennie prawie cesarzowi w cyfrowanych listach znać dawał, jak tu stało stronnictwo jego, w głos jednak oświadczył, że Stolica apostolska nikogo nie popiera, nie zaleca, nie daje pierwszeństwa, ale tylko nad interesami religii czuwać będzie i dla niej opiekuna i obrońcę chce mieć w przyszłym królu.

Nie trudno było Zamojskiemu w nuncyuszu poznać i przeniknąć cesarskiego sprzymierzeńca, ani Annibalowi w Kapui, po krótkiej z hetmanem rozmowie nabrać przekonania, iż walka z tym człowiekiem nie będzie tak łatwą, jak się może wydawała.

Lecz cóż znaczył w przekonaniu Annibala z Kapui najmędrszy wódz i statysta obok potęgi cesarskiej i siły, jaką rakuszanie rozporządzali?

Natychmiast po hetmanie, pośpieszający Górka z Czarnkowskim i wszystkiem co się im około siebie

skupić udało, weszli tłumnie, w znacznej odległości, naprzeciw Zamojskiego zajmując rozległą przestrzeń.

Ciekawi, którzy się temu wjazdowi przypatrywali, dziwić się musieli, co tu niemiecki, szlązki i cudzoziemski żołnierz mógł robić, a w ogóle tak zbierana drużyna, iż jak w wieży Babel w obozie ich rozmówić się było trudno jednym językiem. Brzmiały tu one wszystkie tak niesworno, jak u wodzów w głowach myśli się snuły.

Szło Zborowskim i ich przyjaciołom, aby liczbą Zamojskiemu zagrozili, o dobór się nie starano. Stał najlichszy żołnierz obok najlepszego, rycerstwo polskie obok niemieckich zaciężnych, ztąd kłótnie, spory, wrzawy i tumulty nieustanne.

Dyssydencki żołdak, któremu się zdawało, że wyzwoliwszy się z religijnych praw, powinien był okazywać jak się czuł swobodnym, dokazywał i szalał. Górce, który sam gwałtownym był, a zuchwalstwo za męztwo brał, wydawało się to wszystko pożądanem.

Prorokowano pewne zwycięztwo dwa razy silniejszej, bo do dziesięciu tysięcy liczącej gromadzie rakuszan.

Na pierwsze posiedzenie hetman już był gotów, ale go przyjaciele otoczyli i nie dopuścili gardła ważyć.

Szczypior, który się wszędzie umiał wcisnąć, był niepozorny, a mimo prostoduszności swej, lisem się w potrzebie podszywał, wypadkiem dostał języka, iż na radzie u Zborowszczyków stanęło, gdyby się hetman sam, bezbronny z kilku tylko przyjaciołmi do szopy udał, napaść go na drodze i zamordować.

Bajbuza z tem poszedł zawczasu do pana wojewody ruskiego, a ten oznajmił hetmanowi. Dulski radził z pocztem i zbrojno ruszyć, ale toby było za pogwałcenie praw, za nowe zuchwalstwo okrzyczanem.

Po długich naradach, nie pozostało nic nadto, by hetman się jeszcze od pierwszych posiedzeń wstrzymał i dał wyburzyć namiętnościom.

Zasadzka, o której się przekonano, iż w istocie uczynioną była, spełzła na niczem.

Tymczasem wybuchnęli zaraz na posiedzeniu Zborowscy wszyscy, domagając się, aby hetman, który tyle ludu zbrojnego przywiódł z sobą, ustąpił precz. Nie chcieli pod mieczem jego i grozą do obrad przystępować.

Z obu stron posypały się też same żądania i zarzuty. Hetman gotów był wojsko oddalić, ale się domagał, aby Górka i Zborowscy swoje też precz odprawili.

Tłómaczył się Zamojski, że sił nie dla przemocy, ale dla bezpieczeństwa potrzebował, a chociaż warunków zgody sobie przedłożonych nie przyjął, pokoju zamącić nie myśli i uczciwemu pojednaniu nie jest przeciwnym.

Ponieważ do niczego przystąpić nie było można wprzódy ażby się jakiś *modus vivendi* obmyślił pomiędzy przeciwnemi obozy, nastręczyli się pośrednicy do układania warunków.

A że spokojny hetman, dosyć spokojnie postępował i na niektóre z nich przystać był gotów, Górka z Czarnkowskim, Szafrańcowi i Firlejowi, wybranym za pośredników, wprost oświadczyli, że żadnych ustępstw nie uczynią.

Buta ich rosła właśnie tem, że przez arcybiskupa neapolitańskiego w największej tajemnicy od cesarza odebrali zapewnienie rychłego poparcia.

Mając cesarza za sobą, Górko słuchać już nie chciał o układach żadnych, wprost groził, a z prawa się śmiał. Ledwie silnem wystąpieniem i groźbą też wymogli na nim pośrednicy, iż z kolei przybywać będą na obrady, aby się z hetmanem nie spotykali, inaczej wybuch i przelew krwi był nieuchronny.

Można sobie wyobrazić zniecierpliwienie i gniew tych, co hetmana otaczali, a jego zimnej krwi i spokoju ducha pojąć nie mogli. Gdy z drugiej strony na obozowisku rakuszan i Górki wrzawa, śpiewy

i wczesne pieśni zwycięzkie się rozlegały, pod Powązkami panowała cisza, ale rycerstwo upokorzone szemrało. Jeden Bajbuza rozumiał to i pochwalał.

Zamojski udał się do szopy, zimno przedłożył swą sprawę, odparł zarzuty, a ustępstw dalszych odmówił.

— Idzie na zgubę swoją!—wołał Górka wściekły. — Zaślepiła go przeszłość, śni mu się, że to jeszcze Stefan panem.

Zborowscy niecierpliwsi jeszcze od niego, z każdym dniem gniewliwsi, że się im dotąd nic nie dało uzyskać, doszli do ostatecznego rozdrażnienia.

Chociaż znaczna bardzo przestrzeń dzieliła ich od wojsk hetmana, podkradano się wieczorami, nocami, życia nikt nie był pewien, bo pijane żołnierstwo, bezkarnością ubezpieczone, szło pod wały hetmańskie jak na łowy.

A gdy potem wieczorami przy stołach Górki opowiadano, co dokazywali niemcy i szlązacy, radość panowała nadzwyczajna.

Szczypior znowu dnia jednego dał wiedzieć o zasadzce, a chociaż się raz jego przestroga sprawdziła, lekceważono ją. Zamojski w biały dzień się czuł bezpiecznym.

Na samym wstępie pod szopę, z towarzyszących mu Wacław Wąsowicz postrzegł wymierzoną ku Zamojskiemu rusznicę i gwałtownie go popchnął, gdy w tejże chwili kula mu piersi przeszyła i padł u nóg hetmana.

Pijany Zborowszczyk, któremu w rękach rusznica dymiła jeszcze, ani nawet myślał uchodzić, tak był pewien, że mu się nic nie stanie; żałował tylko, iż samego Zamojskiego nie trafił.

Rozruch się wszczął wielki i wchodzących Zborowszczyków krzykami zaczęto smagać. Sprawaby może przybrała rozmiary większe, gdyby sam hetman nie zażądał, aby ją pokryto milczeniem.

— Wstyd nam uczyni to w obliczu obcych narodów.

Zaledwie się to stało, drugiego dnia strzelono z niewiadomej przyczyny do kanonika inowrocławskiego, stojącego przy biskupie swym i nie było wątpliwości, że go kula dyssydenta położyła.

Trwoga naostatek ogarnęła samych nawet Górki przyjaciół, który z Czarnkowskim razem szalał, nie znając w tym szale granic. Mogli postrzedz, że się od nich i wspólnictwa z nimi, usuwali ludzie umiarkowańsi. Nie było tajnem, że po Wąsowiczu i Brzezińskim na hetmana czyhano i jego koniecznie pozbyć się chciano.

Rachowano na to, że stronnictwo bez wodza rozbije się i padnie w ręce rakuzkich praktykantów, którzy pieniędzmi i obietnicami sypali.

Ani widać było końca temu wszystkiemu. Karnkowski wahający się, niepewien na którą przechylić się stronę, Górce i Zborowskim dozwalał się coraz szerzej ropościerać i zuchwalej rzucać.

Ale hetman nie ustępował.

Strzelano, zasadzano się nadaremnie. Gdy niebezpieczeństwo groziło jawne, a boju uniknąć chciał, Zamojski do siebie zwoływał na radę, tak, że pod szopą sami rakuszanie swobodnie sobie poczynali.

To ich tylko niepoiło, że szopa stała bliżej obozu hetmana, niż ich zbiorowiska. Zamojski, gdyby tak chciał być gwałtownym jak oni, łatwoby ich mógł osaczyć i krwawy zatargom położyć koniec.

Jednego wieczora rozprawiano o tem głośno pod namiotem pana wojewody poznańskiego, a następnej nocy, jeszcze się w obozach do snu nie kładli, gdy z czterech rogów podpalona budowa ogromnym płomieniem buchnęła.

Chcieli się ludzie hetmana rzucić na ratunek, lecz Zamojski kazał się wstrzymać. Wśród nocy łatwo mógł powstać tumult, a hałastra Górki i Czarnkowskiego czyhała tylko może gotowa do napaści.

Dano więc spłonąć szopie swobodnie, a nazajutrz hetman się dowiedział, że nową bliżej obozowiska prymas budować kazał.

— Nie pójdziemy do niej — rzekł chłodno Zamojski — boć już wiemy, że obrady są niemożliwe, a nie o nie chodzi, ale o przelew krwi, którego my ochydy dla sławy narodu uniknąć chcemy.

Wszystko to na dobre się obrócić musi, a warchoły same sobie wstydliwy koniec gotują.

Nalegali przyjaciele na hetmana o stanowcze kroki i działanie, uśmiechnął się.

— Cierpliwości—rzekł—Górka padnie przez to, że jej nie ma.

VI.

Na zamku, dokąd z różnych stron częstokroć bałamutne dochodziły wieści o tem, co się działo na Woli, w szopie i obozach Zamojskiego a Górki, królowa po niewieściemu sądząc, a tego co wrażliwszem było lękając się, trwożyła i płakała. Uspokajano ją napróżno, traciła chwilami nadzieję.

W istocie w mieście jak to zwykle bywa, sądzono z wrzasku o powodzeniu, a że Zborowscy strzelali, zabijali, krzyczeli, Zamojski zaś siedział cicho, cierpiał, patrzał i dał się im tak pokazać całemu światu, że się ich nawet przyjaciele ulękli; królowa sądziła już, że sprawa jej jest przegrana, ciągły tu niepokój panowała a strachy. Ci, co królowej sprzyjali, a lękali się rakuszan, przesadzoną trwogą swoją nie dawali jej pokoju.

Patrząc na to księżna, która miała lepsze nadzieje i inne wyobrażenie o położeniu, posyłała do rotmi-

strza zaklinając go, aby przez litość nad królową, codzień jej znać dawał, jaki był istotny stan rzeczy i co się w obozie działo.

Bajbuza, chociaż teraz był w swym żywiole i niezmiernie czynny, zawsze mu tego wszystkiego było za mało. Utyskiwał przed Szczypiorem, że nadto spokojnie i cierpliwie siedzieć musieli. Rozumiał tego potrzebę, bo mu ją wojewoda ruski, z którym się codzień widywał, tłómaczył, ale bolał nad tem, że się jak chciał, poruszać nie mógł

Z wielką więc ochotą podjął się na żądanie księżnej, codzień się na zamek dowiadywać i zdawać tam sprawę z tego, co się w obozie działo. Przy tej zręczności codzień mógł widywać wdowę, a choć się zapierał, żeby miał myśleć o niej, choć ją wydawał to za Kostkę o pięknych rękach, to za innych królowę otaczających, pocichu do niej wzdychał.

Za postrzał w rękę otrzymany, który go tak długi czas w niewoli więził, miał już na wąs namotany odwet Zborowszczykom, ale do niego przybyło zabójstwo Wąsowicza, który padł ofiarą za Zamojskiego, i kanonika Brzezińskiego, drażniły codzienne zaczepki, przedrwiwania i napaści, na które wystawieni byli.

Rotmistrz, pomimo całej swej krwi zimnej, bezkarnie puścić tego nie mógł.

— Strzelają oni do nas—mówił do Szczypiora— wolno tedy i nam do nich popróbować. Zabijać się nie godzi, ale bronić Pan Bóg dozwala, więc przy podanej zręczności, Szczypiorze mój, celuj i pal... Ja postanowiłem sobie żadnego z nich na tamten świat odrazu nie wyprawiać. Dyssydenci są, idą wprost do piekła, trzeba mieć litość, a nuż się który nawróci? Będę ich tak strzelał, aby tylko łotry nam szkodzić nie mogli. Oni mnie strzaskali lewą rękę, a ja im prawą muszę odbierać.

Rozpoczął tedy na Zborowszczyków polowanie rotmistrz, a że strzelał doskonale, jak sobie postanowił, tak się spełniło. Najwięcej ich w prawą dłoń lub

rękę trafiał, tak, że najlepszych strzelców kilku musieli się iść lizać do miasta.

Z obu stron zawziętość jak największa się wszczęła, z tą różnicą, że Bajbuza nie okazywał jej po sobie, spokojnym był, na oko nie zważał na nich, a ludzie Górki i Zborowskich czyhali na niego, zasadzali się, drogę mu zastępowali nieustannie z krzykiem i wrzaskami. Sądzili, że tem odstraszą, nie znali go.

Był w swoim żywiole, a choć od rana do wieczora czynny, i codzień musiał się przebierać do zamku dla królowej, nocy nie dosypiać, ludzi swych w porządku utrzymywać, życie co chwila ważyć, wszystkiego tego było mu jeszcze mało.

Mój Szczypiorze—mówił codzień prawie wzdychając—niby się to my krzątamy, ale to jak koń nadeptaku, ciągle drepczemy w miejscu. Co mi to za pociecha, że ja tam którego z tych łotrów postrzelę i zaskomli... tymczasem w obozie ich tak szumi jak w początkach, skutku nie widać. Jabym na nich, gdy się popiją, kiedy nastąpił mocno i wszystkich rozproszył, dobre zrobiwszy jatki, ale hetman każe mieć cierpliwość!

Niech i tak będzie! Po jednym postrzelonym na dzień, czasem po dwu.. mnie to nie nasyca.

Szczypior, który często towarzyszył do zamku rotmistrzowi, a przy napaściach także się brał do rusznicy, nie strzelając tak celnie, kilku ubił w miejscu; Bajbuza im ręce tylko odejmował.

Wściekali się na niego, ale rady mu dać nie mogli. Codzień im się mimo ich obozowiska przejeżdżał, czasem kłaniał i o zdrowie tych, których postrzelił, dowiadywał; świstały mu kule mimo uszów, ale żadna nie tknęła.

Zamojskiego rachuba okazała się w końcu rozumną; Górka i Czarnkowski z każdym dniem tracili sprzymierzeńców, do hetmana prawie co wieczora ktoś przychodził, przejednywał się i przyrzekał iść razem.

Bezładu i bezprawia, jakie panowało w obozie

Zborowszczyków, nie mógł żaden stateczny człek wytrzymać. Przyczyniało się do odrazy i to, że rakuszanów się obawiano, a u Górki o niczem słychać nie było, tylko o tem, jak Maksymilian wtargnie, jak zagarnie kraj, porozpędza szlachtę oporną i t. d.

Zarzucano Batoremu i Zamojskiemu samowolę, a zapowiadano daleko straszniejszą obcego mocarstwa, które zdawało się nie o elekcyi myśleć, ale o podboju.

Nikt nie chciał na sumieniu mieć wprowadzenia rakuszan; cofnęli się jedni po drugich. Rozłoszczony Górka widział to, ale tem zajadlej się trzymał cesarza i najszaleńsze roił plany.

Przyszło wreszcie do tego, że arcybiskup Karnkowski, który główną ich był podporą, widząc jak rzeczy stały, że codzień Górki odstępowano, a on coraz stawał się despotyczniejszym, wahać się począł.

Czarnkowskiemu naprzód powiedział otwarcie.

— Strzeżcie się, bo was odbiegną wszyscy.

— My się tego nie boimy — krzyknął ślepy — znajdziemy radę, choćbyśmy i sami pozostali. Przyjdą nas popierać landsknechty cesarskie.

O tych landsknechtach gdy poszły wieści, szlachta bardzo się krzywić zaczęła.

Baczniej patrzący mógł już tego dojrzeć, że choć w obozie Górki zawsze było tłumno i wrzawliwie, ale wiele głów i wodzów ubyło, i co przedniejsi stronili od nich. Natomiast około Zamojskiego się skupiano.

Jednego dnia powracając z zamku na drodze Bajbuza, którego dobrze znano, w ulicy został wstrzymany przez księdza, który mu dał znak, że chce z nim mówić.

Rotmistrz konia zatrzymawszy zsiadł zaraz i podszedł ku niemu.

Duchowny się obejrzał bacznie dokoła, bo nie chciał być postrzeżonym na rozmowie z Bajbuzą i naprzód mu się dał poznać jako kapelan prymasa Krankowskiego.

Po niejakiem wahaniu odezwał się do rotmistrza.

— Uczyńcie tę uwagę p. hetmanowi, iż zdawna ks. arcybiskupa nie odwiedzał. Źle to jest.

— Ale jakże ma tam jechać, gdzie może postrzał otrzymać — odparł Bajbuza — gdy ks. arcybiskupa ciągle nieprzyjaciele jego sami otaczają.

— A! wszystko się to zmienić może — szepnął ksiądz. — Mówcie hetmanowi o tem, iż nasz pasterz zbliżyć się do niego życzy i porozumieć. Dokuczyły nam wybryki tych ichmościów, a choć ich ks. nuncyusz w opiece ma, gotowiśmy ich odstąpić. Zwierzam się wam z tego poufnie. Polecenia nie mam żadnego od nikogo, ale widzę, jak się w sumieniu swem nasz ojciec a pasterz męczy, czuję to, że radby naprawił co się złego stało.

Niech hetman krok uczyni. Nie zdradzajcie mnie, a starajcie się wpłynąć na niego.

To mówiąc prędko uszedł kapelan, a Bajbuza z tem do hetmana pośpieszył, któremu we cztery oczy z rozmowy swojej zdał sprawę.

Zamojskiemu twarz się rozjaśniła.

— Widzisz — rzekł do rotmistrza — wy wszyscy niespokojne, rycerskie, a raczej warcholskie duchy, bo co Polak to warchoł potroszę... wy mi ciągle wymawialiście bezczynność i wyczekiwanie, a i kunktacya się czasem na coś przydała. Widzisz waszmość, że kiedy wóz pełen, koza do niego przyjdzie na końcu.

Nam codzień przyjaciół przybywa, ich codzień ktoś odstępuje, ani się spostrzegą, jak sami w obozie z żołnierstwem najemnem pozostaną, szlachty nawet na nasienie nie mając.

Tu hetman dodał z uśmiechem.

— Waszmość też im, słyszę, sporo nastrzelałeś ludzi!

— Ja? — odparł Bajbuza — ależ bronić się muszę, a nie zabiłem w śmierć pono ani jednego, daję im czas na skruchę, pokutę i przejednanie z Bogiem.

Przejażdżki codzienne do zamku, choć prawie

zawsze życie trzeba było ważyć, na zasadzkach, jedyną stały się pociechą Bajbuzy. Bardzo często puszczał się sam, niekiedy Szczypior albo który z czeladzi mu towarzyszył, rzadko się obeszło, aby z za węgła, z za płota, nawet już w mieście z za parkanu w jakiej ciasnej uliczce nie strzelano do Bajbuzy. On zaś tak był gotowym do odpowiedzi, że ledwie kula świsnęła, już zmierzył w dym, i bardzo często krzyk się dawał słyszeć. Rotmistrz wychodził cało. Kilka razy drasnęły go kule, ale niektóre z nich na stalowej koszulce, której nie zrzucał, pospłaszczały się, inne ledwie sińce lub odrapanie po sobie zostawiły.

Raz z zasadzki palnął ktoś do niego z kuszy i bełt konia ranił szpetnie, tak, że go dobić było potrzeba.

Pomimo to wszystko patrząc na Bajbuzę, można było sądzić, że z mięsopustu powracał albo na wesełisko jechał, tak mu z tem było dobrze.

Skarżył się potem jednak zawsze na bezczynność.

— Co mi to za robota — mówił — nie ruszamy się z miejsca. Na zamku ja królowę JMość jak mogę pocieszam; niekiedy kłamię przed nią pobożnie, bo mi starej biednej żal, ale niewiadomo kiedy temu koniec będzie.

Z rakuszanami tak się ostrzeliwać do niczego, ichby napaść i precz wymieść. Ci co z cesarzem trzymają, niech sobie do niego idą. Z Panem Bogiem, płakać po nich nie będziemy. Ale rozumne to są łby, bo jużci wiedzą, że cesarz ich głaszcze póki potrzebuje, a potem *pacem dissidentibus* nie zachowa.

Codzień tedy pod wieczór rotmistrz do zamku jechał.

Uprosił tylko Szczypior to przynajmniej dla bezpieczeństwa, ażeby codzień sobie inną drogę obierał, konia innej maści i suknię różną brał, aby go tak łacno poznać i popaść nie mogli. Jechał też a powracał innemi ulicami.

Na zamku najczęściej oczekiwał już na niego Kaliński i wnet księżna dawała znać. Wprowadzano

Bajbuzę do gabinetu królowej, gdzie nowiny dnia jej opowiedział, ale strzegąc się takich, któreby ją zasmucić mogły.

W istocie też, sprawa choć powoli, szła coraz lepiej.

Królowa potem szła się modlić i Bogu dziękować, albo do Szwecyi pisać, a rotmistrza marszałek przyjmował i księżna, do których się i dworacy ciekawi przyłączali, aby co nowego posłyszeć.

O napaściach, postrzałach i niebezpieczeństwie, na jakie się narażał, nie pisnął nigdy ani słowa Bajbuza, i księżnaby nie wiedziała o nich wcale, gdyby Szczypior o tem nie szepnął.

Ulękła się więc i chciała już te codzienne wycieczki powstrzymać, ale rotmistrz nie odstąpił od raz przyjętego obyczaju.

— Szczypior przesadza - rzekł — puknie tam czasem kto dla postrachu, ale niebezpieczeństwa żadnego niema. Strzelają tak, że żaden z nich w ścianę od stodoły nie trafi. Ja się ich wcale nie boję, a mnie wieczorna przejażdżka jedyna w dniu miła godzina, bo powietrza wiosennego chwycę, no, i księżnie JMci pokłonić się i królowę uspokoić mogę.

Nie w smak tylko było może Bajbuzie, że niemal codzień przy księżnie spotykał owego pięknego wojewodzica sandomierskiego Kostkę, który się jej jawnie zalecał, choć ona sobie z niego żartowała.

Koso na niego patrzył Bajbuza, ale to nie pomagało.

— Gach to jest — mówił Kalińskiemu — którego by księżna się pozbyć powinna. Innym do niej drogę zapiera, bo myślą, że o rękę się dobija, a to młodzik, który do pięciu naraz gotów się zalecać, o żadnej nie myśląc. Zda mu się może, iż na wdówkę trafiwszy, niema się czego obawiać, bo sama jest i bez opieki, a no wiedziećby mu nie zawadziło, iż choćby się za nią Sapiehowie nie ujęli, to jest stary Bajbuza, który nie da jej krzywdy uczynić.

Waszmość mu to powiedz — dodał rotmistrz. — Ja go nierad przy niej widzę, bo wiem, że się nie myśli żenić, a ją sobie lekceważy.

Nie dokończył Bajbuza.

Kaliński nie miał nic pilniejszego nad przestrzeżenie Kostki; wojewodzic zaś, choć białe ręce miał i na gaszka wyglądał, tchórzem nie był. Nie podobała mu się przestroga.

— Słuchaj, Kaliński — rzekł — powiedz swemu Bajbuzie, że ja już bakałarza zdawna pozbyłem i nie potrzebuję go. Zalecam się, gdzie mi się podoba, a gdy mnie kto o rachunek pyta, ja go też mogę zagadnąć, jakiem prawem?

Rotmistrz wdowie ani brat, ani swat, możeby rad sam się zalecać, a twarzy niema gładkiej jak jał.

I śmiał się Kostka, a że jako syn pana wojewody, miał się za coś lepszego od rotmistrza, którego nazwisko mu brzmiało niesmaczno, więc następnego dnia, gdy Bajbuza przybył, umyślnie jeszcze natarczywiej się począł około wdowy uwijać. Księżnie musiało to być nie w smak przy rotmistrzu, niedługo więc posiedziawszy odeszła, zostawiając tych ichmościów samych przy winie i przekąskach. Kostka na dobitkę uwiązał się do rotmistrza z drwinami, na co on z początku nie zważał, ale w końcu coraz ostrzejsze słówka polatywać zaczęły.

— A waszmość—spytał Bajbuza pana Kostkę— z kim trzymasz.

— Jakto, z kim? — podchwycił oburzony młodzian—widzisz mnie waszmość przy królowej... pewna rzecz, że do warchołów się nie liczę.

Rotmistrz głową potrząsnął.

— Toćby to teraz lepiej do nas do obozu na Wolę, pod hetmańskie rozkazy—rzekł—niż tu na zamku siedząc, zdala patrzeć jak się tam wszystko gotuje i wre. Nawet pan Herburt neutralistów nie chwali.

— Jać wiem i sam co mam czynić, a rad nie potrzebuję - dumnie odparł Kostka.

— Nie są to rady - rzekł rotmistrz—czyń waszmość co mu się podoba; jam się tylko oświadomić chciał, co mam o kim trzymać.

Cała twarz młodzikowi spłonęła.

— Mości rotmistrzu — zawołał — szukacie zaczepki. Trzymajcie o mnie co chcecie, ale to wiedzcie, że ja płochliwy nie jestem. Zechcecie się spróbować, nie pierzchnę z placu.

Z wielką powagą powstrzymał go Bajbuza.

— Nie tak gorąco - rzekł—ja nikogo wyzywać nie zwykłem nigdy, a dziś tembardziej, gdy rzeczpospolita się krwi naszej domaga i nie godzi się nią szafować lekkomyślnie.

Nie mam też powodu pana wojewodzica o nic sekować, tylko dodam jedno. Jestem zdawna przyjacielem księżnej; widzę was codzień przy niej. Jeżeli naprawdę myślicie się swatać, jej rzecz was przyjąć lub odprawić, a na ludzką obmowę ją narażać... ja, jako przyjaciel, nie dopuszczę.

Kostka stał zdumiony.

— Naukę mi waszmość dajesz?

— Przestrogę.

— Jakiem prawem?

— Innego nie mam nad to, że gdy widzę, jak kogo napadnie człek zuchwały, bronię.

Wojewodzic po karabeli uderzył.

— Na zamku jesteśmy—rzekł cicho Bajbuza— więc tu się za oręż brać nie przystało, i kara za to główna. Zechcecie mnie gdzieindziej szukać, nie uciekam.

To powiedziawszy za czapkę wziął rotmistrz, pożegnał się i wyszedł.

Kostka nierychło przyszedł do siebie.

Rwał się biedz za Bajbuzą, aby go wyzwać na rękę i ledwie go Kaliński powstrzymał.

Rotmistrza zdaleka tylko znając, wojewodzic go sobie szlachetką wyobrażał bez znaczenia, bez majątku i przyjaciół. Dopiero go teraz objaśniono, że stu ko-

pijników na swym żołdzie i przez siebie wystawionych Zamojskiemu przywiódł, że dwadzieścia tysięcy złotych królowej pożyczył, a choć się tem nie chlubił, możnym panem był, urodzonym z kniaziównej, spokrewnionym z wieloma domami znacznemi na Litwie i Rusi. Opowiadano mu też, iż mężniejszego rycerza a szlachetniejszego człowieka trudno znaleźć było i wszyscy go szanowali.

Ostygł nieco Kostka dowiedziawszy się o tem ale przynajmniej dostać mu chciał kroku, aby nie odstępować księżnej.

I trudno mu ją było porzucić, bo choć wiele kobiet wówczas szalało za pięknym Kostką, a młoda panna Dulska, Zamojskiemu pokrewna, była mu przez rodzinę rajoną, wojewodzic się szalenie w pięknej wdowie rozmiłował.

A nie tyle może urok jej wdzięków go pociągał, co umysł, dowcip, jakieś czarodziejstwo, którem ona wszystkich ujmowała.

Z dzieweczkami jak Dulska, więcej naoczy niż na słowa mógł Kostka zaloty odbywać; a księżną swobodniejszą zabawiał się godzinami, zapominał, odejść od niej nie mógł, odszedłszy tęsknił i czuł, że bez niej szczęśliwym być nie może. Gotów więc był naprawdę starać się o jej rękę, ale rodzina jego z ubogą, z wdową, niezbyt też majętnemu nie mogła dozwolić ożenienia.

Tymczasem więc Kostka, nie patrząc głęboko w przyszłość, pozostał na swem czasowem stanowisku.

Nazajutrz gdy znowu przyjechał Bajbuza, aby królowej oznajmić, iż hetman się rychłego końca kazał spodziewać, zastał Kostkę przy księżnie. Nie rzekł nic.

Przy wieczerzy na zamku jednak, już się do niego nie zwracając, księżnę zagadnął.

— Kostkę tu widuję codzień. Miałżeby szczęście podobać się W. Książej Mości?

— Mnie? wojewodzic?—uśmiechnęła się piękna

pani.—A! nie! ale ja miałam nieszczęście wpaść mu w oko, a że go niewiasty pono popsuły, bo się jego piękności nie mogą nachwalić, zda mu się, że kędy się zwrócić raczy, zwycięży.

Nie mam nic przeciwko niemu — dodała — ale mi jest tak obojętnym jak Szczypior!

Bajbuza wąsa pokręcił.

— A dlaczegoż księżna mu nie dasz poznać, że tu próżno czas marnuje. Rodzina mu, jak mi mówiono, Dulską dawno przeznaczyła, odprawcie go do niej.

Księżna Teresa popatrzyła na swego opiekuna.

— Dziękuję wam za życzliwą i dobrą radę— rzekła.—Nie mogę go się pozbyć, dopóki nie da mi do tego zręczności. Bądźcie spokojni. Dulskiej go ja nie odbiorę. Dla mnie i za młody i za piękny.

Tak wtedy wszystko w zawieszeniu zostało, a Bajbuza przyjeżdżał dopóki mógł do zamku. Teraz jednak często do obozu odstąpić i ludzi samych pozostawić mu było trudno. Zamojski go też potrzebował. Nowy zwrot rakuzcy kandydaci, arcyksiążęta Ferdynand i Maksymilian, w sprawie swej uznali koniecznym. Doniesiono im, że Górkę i Czarnkowskiego ze Zborowskimi wszyscy odstępowali, że na nich rachować nie było można. Próbowali więc wprost już do Zamojskiego się udając, pozyskać go sobie.

Nie było nocy, ażeby jaki tajemny poseł, Stanisław Ciołek, z listami do hetmana się nie zjawił.

Starania te i zapóźne były i rozbiły się o rachubę Zamojskiego, że młody król, zaledwie dwudziestoletni, bez doświadczenia, jemu tron będąc winien, da mu się też powodować. Obietnice arcyksiążąt, jakkolwiek daleko bardzo sięgające, nie mogły się z tem równoważyć, co hetman dla siebie i dla kraju uważał za najlepsze.

Oprócz tego sam prymas znudzony, zniechęcony przez Górkę, który mu narzucał swoje wymagania dla dyssydentów, oświadczył Zamojskiemu wprost,

iż w izbie, publicznie, głośno, gotów jest głosować za Zygmuntem.

W ten sposób zwycięztwo prawie już zapewnionem było.

Niespodzianie, jak piorunem rażeni zostali rakuszanie i stronnictwo Zborowskich, gdy stary Karnkowski, którego od niejakiego czasu ostyglejszym dla siebie widzieli, wprost się za Zygmuntem oświadczył.

Nieopisany tumult powstał w szopie.

Podniesionym głosem gdy prymas wywołał to imię, powstał Andrzej Zborowski.

— Cóżto? nie pytając o głosy nikogo, prymas nam już króla narzuca?

— Nie narzucam go—odparł Karnkowski—ale mój głos za nim daję.

— Kogóż myślisz okrzyknąć?—podchwycił Zborowski.

— Tego, kogo większość wybierze—rzekł Karnkowski.—Co do mnie, ja niemca mieć nie chcę i nie życzę.

— Niemca?—krzyknął Górka—albo szwed nie tyle wart co niemiec?

— Matka jego Jagiellonka, ze krwi królów naszych — dodał starzec — a co szwed to nie niemiec.

Krzyki, mowy urywane, uszczypliwe, szyderskie zapełniły szopę. Karnkowski milczał. Tymczasem Górka i Czarnkowski czy przygotowani zawcześnie, czy natychmiast dawszy znak do swojego wojska, kazali mu ku szopie wyruszyć i gdy się tu spierano, ujrzeli senatorowie nadciągające zaciążne pułki, a na czele ich kilka dział, które puszkarze niemcy wprost na szopę wykierowali.

Spodziewano się nieochybnego starcia, do którego musieli być rakuszanie przygotowani, bo nuncyusz, jak powiadano, kazawszy się zaprowadzić na wieżę kościoła św. Jana, z niej miał walce się przypatrywać, która w znacznej części jego była sprawą.

W mgnieniu oka szopa się zaczęła opróżniać;

wyprowadzono prymasa do kolebki, inni konie dosiadać zaczęli, wybiegali pieszo.

Zamięszanie wszczęło się gwałtowne, w którem jednak spokojny i na wszystko przygotowany a świadom planów rakuszan Zamojski, nie dał się uprzedzić.

Na dany z pod szopy przez Dulskiego znak, oddziały hetmana i z nimi i kopijnicy Bajbuzy, niemal pierwsi z okopów wyciągać zaczęli.

Z drugiej strony ks. Ostrogscy wyprowadzali swój lud w pole; szedł marszałek Opaliński, ukazał się wojewoda sandomierski Szafraniec.

Górka i Czarnkowski spostrzegli, że na nieświadomych nie wpadli, i że tu gotowość była, choćby do walki. Strzymali się trochę, gdy prymas Karnkowski widząc już przeciwko sobie stojące pułki, z kolebki na konia się kazał wsadzić i stanął pomiędzy dwoma szykami.

W jedną i drugą stronę wysłał od siebie zaklinając, aby do bratniej krwi rozlewu nie doprowadzono. Mowa Karnkowskiego, a więcej jeszcze postępek, uczyniły takie wrażenie na szlachcie, która Górcę towarzyszyła, że się naprzód usuwać zaczęła.

Jak tylko z jednej strony ujrzano cofających się do obozu, Zamojski swoim też wnijść za wał nakazał.

Bajbuza ze swymi kopijnikami, który się wyprosił na pierwszy ogień i starcie, z żalem odciągnąć też musiał.

Znowu tedy rodzaj rozejmu nastąpił, z którego korzystano, aby wszelkiemi środkami hetmana na stronę rakuzką przeciągnąć.

Gotowi byli nawet Zborowscy niewielkim kosztem za Samuela się dać przebłagać.

Co się pod te dni działo w namiocie hetmana, od świtu do nocy, a raczej od jednego poranku do drugiego, bo i noc od narad i poselstw wolną nie była, opisać trudno.

Bajbuza też rad temu, że czynniej i żywiej się

krzątano około zakończenia elekcyi, we zbroi i nierozbierając się trawił noce całe, gotów na posługi.

Królowej tymczasem dano znać, iż hetmana ujęli rakuszanie; strach padł na nią. Nadbiegł Kaliński po języka, którego rotmistrz zapewnił, że wszystko, co rozsiewano, fałszem było.

Wszystkoby się było rychlej i pomyślniej może skończyło, gdyby z jednej strony zdradą i odstąpienie Spytka Jordana, z drugiej wieść o ukazaniu się banity Krysztofa, Zamojskiemu nie pomięszały szyków.

Spytek Jordan stał dotąd przy hetmanie, chociaż blizko związany ze Zborowskimi powinowactwem, bo nawet na Spytków zamku i w ich grobach ciało Samuela pogrzebiono. Marszałek Andrzej Zborowski potrafił go w ostatniej chwili ująć, ubłagać i Spytek opuścił hetmana, a tem znaczne siły mu odjął.

W tej samej chwili, korzystając z wahania się, jakie odstępstwo wywołało, wywołaniec Krysztof w kilkaset koni, wbrew banicyi, urągając się prawu, wjechał do Warszawy i publicznie się począł ukazywać. Było to urągowiskiem i wyzywaniem hetmana.

Rotmistrz nasz, a oprócz niego i znaczna część sił Zamojskiego musieli strzedz osoby jego, bo zuchwały podszaszy nietylko się odgrażał, ale po ulicach i na drogach napadał.

Zamojski w pierwszej chwili zdradą Spytka i zjawieniem się Krzysztofa Zborowskiego był jakby porażonym. Żółkiewski i Dulski jednak nie potrzebowali długiego czasu, aby go przekonać, iż sprawa przez to nie została przegraną.

Sam on odzyskał natychmiast męztwo swe i krew zimną.

Dla rotmistrza chwila to była godowa. Jemu powierzono świeżo przybyłych, a zuchwałych ludzi podczaszego trzymać na wodzy i poskramiać. Bajbuza był w swym żywiole i przybrawszy sobie Szczypiora, jednego węgra, który mu się nastręczył,

i brata zabitego Wąsowicza, mającego do pomszczenia nieboszczyka, nie schodził prawie ze straży obozu i gościńców od miasta do niego prowadzących.

Ilu tam Zborowszczyków postrzelali, ilu w mieście po gospodach natłukli, zasadzając się na nich, nie liczyli. Wszystko to jednak nie wiele się przydało.

Z przybyciem Krzysztofa, który niezmęczony jeszcze był, przebiegły, chytry, a jako banita musiał się najgorliwiej starać, aby Zamojskiego zgnębić, zaczęło iść widocznie gorzej coraz.

Już cofnięcie się Spytka dawało mu do myślenia, że za nim drudzy mogli pójść. Nie wiedziano dobrze, co się u Górki i Zborowskich działo, bo choć głośno wykrzykiwano, ważniejsze zamysły tajemnica okrywała. Potrzeba było koniecznie mieć kogoś w obozie rakuszan.

Ponieważ najczynniej a najskromniej służył im Bajbuza, zwrócił się do niego Żółkiewski, czyby nie znalazł człowieka, coby się szpiegowania podjął.

— Panie wojewodo — odparł rotmistrz — takich co szyję dadzą, postawię wam dosyć, ale zdrajców ja ani żywię, ani cierpię, choćby dla mnie zdradzać chcieli.

Żółkiewski zamilkł, lecz tego dnia zgłosił się szlachetka, który brata miał pisarzem u Czarnkowskiego ślepego i ofiarował tropić i donosić.

Mogli więc na przyszłość rachować, iż o obrotach Zborowskich wiedzieć będą. Tymczasem jednak okazywało się, iż jakkolwiek zacięci przeciw hetmanowi, szczerze czy nieszczerze Zborowscy ofiarowali mu zgodę na jakich chce warunkach, byle razem z nimi Maksymiliana królem dał okrzyknąć.

Położenie było tak krytyczne, że hetman zrazu nie odpowiadał nawet, i niemal gotów był już na rakuszanina się zgodzić. Przyczyną tego było, że na utrzymanie wojska, na przedłużoną walkę brakło pieniędzy. Hetman się do ostatniego grosza wycieńczył. Zborowskim z Wrocławia przychodziły ciągle

zasiłki, tu ze Szwecyi nie dawano nic, a królowa też przestała łożyć.

Dla mizernego grosza dać się zmódz, było Zamojskiego strapieniem wielkiem, lecz ostatnie środki wyczerpał.

Królowa oczekiwała szczęśliwego już końca, gdy ranka jednego, hetman rzadko się pokazując na zamku, o posłuchanie jej poprosił.

Wyszła naprzeciwko niemu niespokojna Anna, poczynając od przywitania, że w nim jedyną ma nadzieję.

— A! Miłościwa Pani — zawołał hetman — a ja już tylko w Bogu mam jedyną, że nas chyba cudem uratuje.

Zborowscy popierani przez cesarza, wojsko mają liczne, my też musiemy je przeciw nim utrzymywać. Koszt wielki, a końca nie widać. Przychodzę do W. Król. Mości radzić się i prosić, co poczniemy. Jam już bez groszą i nie mam go zkąd dostać.

Przerażona staruszka złożyła ręce.

— Wszystko com miała, oddałam—zawołała— posłowie szwedzcy nie przywieźli nic, a u gdańszczan napróżno o pożyczkę prosili. Gdybym chciała dać więcej, nie mogę, bo nie mam.

Hetman westchnął ciężko. Opisał królowej położenie swe, żalił się, dodał w końcu, iż go kuszono takiemi warunkami, tyle obiecywano dla kraju, że wobec nadzwyczajnych trudności, niewiedzieć było co poczynać.

Rozpłakała się Anna i te łzy jakoś Zamojskiego poruszyły. Zamilkł. Naradzano się jeszcze nad środkami, uchwalano słać do gdańszczan, do księcia pruskiego, do Szwecyi. z tem Zamojski późno w noc w towarzystwie swoich wiernych do obozu powrócił i w swym namiocie się zamknął dla rozważenia, co mógł i musiał uczynić, aby wyjść bez sromu. Zborowscy naglili o pojednanie, byle szedł z nimi, ale możnaż im wiarę dać było?

Północ już nadchodziła, gdy około namiotu ruch się wziął jakiś, i hetman kogoś ze swych przewidujący powstał.

Jakież było jego zdziwienie, gdy w podniesionej zasłonie wnijścia ujrzał sędziwego Karnkowskiego.

Arcybiskup stary był, chory, znużony, a mieszkał w klasztorze Bernardynów na mieście, przybycie więc jego ważnemi musiało być spowodowane pobudkami.

Ale starzec siąść musiał i zmęczenie swe wydychać nim począł.

— Przychodzę po to—rzekł—aby wam oświadczyć, żem gotów ogłosić królem Zygmunta. Na co czekamy? czego się ociągać? Okrzykniemy go... kość będzie rzucona, uprzedzimy rakuszan... pierwszeństwo też ma swą wagę.

Z tem przybyłem i pozostanę tu. Nie zwlekajmy, niespodzianką ich weźmiemy. Ślijcie do Opalińskiego, do Dulskiego, do wszystkich swoich, niech się natychmiast gotują.

Ranek dnia 1 sierpnia zastał cały obóz w ruchu. Litwini tylko dotąd zupełnie na stronie trzymający się, nie dawali się ściągnąć ani na jedną, ani na drugą stronę, oprócz jednego Radziwiłła, wojewody wileńskiego. Negocyując z nimi, czekano nadaremnie do południa.

Wtem Zborowscy i Górka z wojskiem też poruszać zaczęli, a prymas strwożony natychmiast o przyśpieszenie elekcyi wołał i naglił.

Wcale się nie spodziewali rakuszanie tego zuchwałego kroku, sądząc, że i tym razem ruch się na niczem skończy, gdy po śpiesznem objechaniu rycerstwa nagle wzniosły się okrzyki.

— Niech żyje, niech nam panuje długo i szczęśliwie Zygmunt III.

Z jednej strony radośne to wołanie, z drugiej grom wrzasków i krzyków głuszył. Zborowscy jak wściekli biegli na radę do Górki.

VII.

Odśpiewawszy Te Deum u św. Jana, wraz z całym dworem królowej i hetmana, rotmistrz nasz dnia tego, po wielu nieprzespanych nocach i trudach, z obozu się do dworku przy Długiej przeniósł, zabierając z sobą Szczypiora i Cezara Wąsowicza, a węgra zostawiwszy przy kopijnikach w obozie.

Wszyscy byli nadzwyczaj wesołej myśli, a rotmistrz posłał po wino i po jedzenie, chcąc wieczór spędzić, a bodaj noc na gawędce z przyjaciółmi. Posłał też zaraz na zamek po Kalińskiego, bo sam od kilku dni nie mogąc być u królowej, ani o niej, ani o księżnie nic nie wiedział. Tej zaś, choć stale się wypierał, więcej go ona obchodziła, niż okazywał po sobie.

Posłany wyrostek natychmiast Kalińskiego przyprowadził.

— Nowego króla zdrowie pić będziemy—zawołał ściskając go w progu i serdecznie witając Bajbuza—nie chciałem tego uczynić bez ciebie. Radbym też Pękosławskiego mieć starostę sandomierskiego, co się spisał tak gracko, ale tego nie wiem czy wyszukam. Dzięki jemu uprzedziliśmy Zborowskich i Rakuszan.

— A czemże się Pękosławski do tego przyczynił?—zapytał Kaliński.—O bożym świecie nie wiem!

— Jawne to przecie—śmiał się rotmistrz.—Wiesz, że arcybiskup chwiejący się jak trzcina, chyli się to na jedną, to na drugą stronę, wiesz, że mieszkał w klasztorze u Bernardynów, ale o tem nie wiesz może, iż gotowy mieli statek na Wiśle Zborowscy i Górka, aby go wykraść i kazać mu Maksymiliana okrzyknąć. Otóż Pękosławski, prawda, że z rozkazu hetmana, ale się dzielnie uwinął, klasztor obszedł,

a staruszka na wygodniejsze mieszkanie na zamek przeprowadził.

— O tem wiem, że mieszka od dni kilku na zamku, alem słyszał, że królowa go zaprosiła, aby tu lepszą wygodę miał.

Bajbuza ręką podrzucił.

— Dosyć, że Pękosławski nas uratował... Uprzedziliśmy cesarskich i teraz już chyba koniec.

Rotmistrz żwawo się na obcasie zakręcił podśpiewując, chwycił Kalińskiego za barki i krzyknął wesoło.

— No, a na zamku! na zamku! toż to jubilacya być musi!

— Bywa różnie — odparł Kaliński — królowa śmieje się, modli, ale i płacze; przewiduje, że na tem nie koniec jeszcze. A tu z tymi szwedami jak z kamienia... Ile razy przyjdą listy, gryzie się i lamentuje, bo nic postąpić, nic dać, nic uczynić nie chcą, jakby nam łaskę wyświadczali, że królewicza raczą na tron nasz posadzić.

Na biedną królowę patrząc, aż się serce rozdziera.

Skrzywił się Bajbuza.

— Wszystko się to ślicznie, pięknie załatwi — rzekł. — Król Jan, choćby szwedem był, pomiarkuje w końcu, że nasza rzeczpospolita coś jest warta. Szwedzkie bory, lasy, skały i jeziora srogie nie dostoją przy naszych żyznych łanach i ługach... Chleba mamy i dla siebie i dla drugich podostatkiem, mięsa też, mamy oboje czem posilić, i rycerskie ręce, co tych skarbów obronią. Mało królestw tem się pochwali. Na niczem nam nie zbywa, oprócz ładu i spokoju... ale warchołów wybijemy z pomocą bożą.

Król Jan, bodaj zdrów był, panuje, jak powiadają, nad chłopami tylko, a syn będzie mieć zaszczyt rycerstwu przodkować... Przecie się na tem w końcu poznają!

I przerywając nagle dodał Bajbuza.

— A księżna pani, a Jmpan wojewodzic Kostka co robią?

Kaliński głową poruszył.

— Kostka! Kostka!—rzekł—radbym, żeby wam całą kością w gardle nie stanął. Szaleje za księżną, a że ona go wyśmiewa potroszę, on to wszystko wam przypisuje i zaklina się słyszę, iż na żywot wasz godzić gotów.

— Niech próbuje — odparł chłodno rotmistrz — ale kto na cudzy godzi, ten swego nastawić musi. No! a księżna Jejmość?

— Księżna?—mówił Kaliński trochę się zżymając — księżna się śmieje z niego, to prawda, ale... niewiasta zacna, stateczna, a zawsze niewieściego w niej coś jest.

— Cóżeś to upatrzył? — zapytał Bajbuza.

— Nadto jest litościwą a powolną, daje mu się w siebie wpatrywać i coraz szaleć mocniej — mówił dalej Kaliński.—Bawi się nim jak pieskiem lub papugą. Jemu się tymczasem coraz bardziej w głowie zawraca.

— To jego sprawa!—mruknął Bajbuza.—Na zamku uroczyste nudy... niechże się gachem zabawi; a on głowy powinien pilnować, aby mu się nie zawracała.

— No, a na Kostce nie dosyć — dodał Kaliński, który nie bardzo księżnę lubił — królowa prowadzi do niej drugiego pretendenta, i temu ząbki wyszczerza.

— Któż to taki?

— Szpakowaty już kniaź Olelkowicz z Litwy; *dicitur*, że bogaty... ale i niepowabny i dzieci ma dorosłe.

— Podobał się jej? — zapytał rotmistrz.

— Któż to spenetruje? Śmieje się jemu, Kostce, wam, a co u niej w sercu, ona tylko wie... Powiada, że za mąż nie chce, do klasztoru też nie ma ochoty, więc co?

— A ty jej zabronisz na wdowim stołku siedzieć — zapytał Bajbuza — jeśli się jej spodobało?

Rozmowa byłaby się może przedłużyła, bo rotmistrz rad o księżnie słuchał i mówił, ale na jasne okna dworku Bajbuzy coraz nowi gości napływali i drzwi się nie zamykały.

— Witaj! Vivat Sigismundus!

— Vivat! vivat!

— Jutro może—wtrącił przybywający Wnorowski rotmistrz—Zborowscy tak samo okrzykną: Vivat Maximilianus! bo gotują się, choćby we dwu senatorów z jedny biskupem elekcyę drugą bez prymasa dokonać, a potem orężem sobie drogę do tronu gotować.

Maksymilianowi do Krakowa bliżej niż Zygmuntowi, a gdy zamek opanuje, ukoronują go.

— Tylko to bieda—rozśmiał się rotmistrz — że do zamku, ani do Krakowa go nie puszczą. Zawczasu o tem myślano.

— Do zamku — wtrącił Wąsowicz — może być, ale na mieście, gdzie niemców siła cesarzowi przychylnych...

— A! nie wróżcież złego, do kata! — zawołał bijąc w stół oburącz gospodarz. — Nalewać kubki i Vivat Sigismundus!

Znowu tedy okrzyknięto, aż w ulicy słychać było.

— Vivat Sigismundus!

I z ulicy strzał w tej chwili padł w okno, zabrzęczała szyba, kula świsnęła koło uszu rotmistrzowi... rzucono się zaraz w pogoń za złoczyńcą, ale ani śladu go już nie było.

W chwilę potem wesołość powróciła.

— Macie dowód — rzekł Wąsowicz — że z nimi nie koniec. Gdyby o Zborowskich szło, dałoby się zagodzić, ale tu cała rakuzka siła przeciwko nam, a tej się lekceważyć nie godzi. Dodajcie ktemu szalonego Górkę, wściekłego Czarnkowskiego, mściwych Zborowskich.

— Dodaj sobie kogo chcesz, mój Wąsowiczu drogi — przerwał Bajbuza — my się ich razem nie ulękniemy. Jeden hetman nasz stanie za wielu.

Zwróciła się rozmowa na wojenne sprawy, na uzbrojenie... Szczypior począł wywodzić, że landsknechty niemieckie lepiej są zbrojne. I na to Bajbuza nie chciał pozwolić.

— Ja ci powiadam, że nasze zbroje, co je włoch w Samsonowie wykonywa, nie ustąpią niemieckim. Mało co pośledniejsze są korczyńskie, a świątnickie dla mieszczan przeznaczone krakowskich, im w samą miarę wystarczą. Niemcy nas nachodzą, myśmy u siebie w domu. Wątpię nawet, aby się Maksymiliana obwoływać ważyli... Gdzie i kto?

Tak rozprawiano, jedząc i zapijając ochoczo, a Bajbuza jak sam ducha nie tracił, tak drugim go dodawał.

— Elekcya skończona — mówił — szopę mogą raz wtóry spalić, już nam nie jest potrzebna, szlachcic pilno do żniw, rozjedzie się, my z oddziałami w pole, póki tu cesarskich najście grozi, musimy czujni być i na młodego pana czekać.

Ztąd tedy o młodym panu powieści różne... Bąknął Wąsowicz, że OO. Jezuitów lubi bardzo.

— I Batory się nimi posługiwał—przerwał Bajbuza — nie szukajmy przedwcześnie w nim co naganiać... chwalmy lepiej. U nas i tak aż nadto zawsze czernidła i plotek.

Podniósł kubek.

— Należy też królowej JMci vivat — dodał — bo gdyby nie ona, jużby nam rakuszanin na pewno na karkach siedział... O Zygmuncie nie pomyślałby nikt, on zaś sam, jak widać, ani ojciec, o tronby się nie starali. Ostatnia kropla krwi jagiellońskiej w szwedzkąby ziemię wsiąkła.

— To prawda—przerwał Kaliński — iż królowa trzeci raz już swojego Zygmunta forytując na tron, do ostatniej niemal łyżki zastawia... Chciała go mieć gdy Henryka obierano, ale dzieckiem był, potem gdy Stefana podniesiono, i wówczas się nie powiodło, aż nareszcie pociechę tę sobie u Boga uprosiła, ostatni grosz na to wyszafowawszy.

Od królowej przeszli na hetmana, bo rotmistrz jego zdrowie pił.

— Gdyby nie on, popadlibyśmy w ręce Zborowskich i rakuzkich panów—odezwał się.—Co się tyczy cesarskich rządów, ja tam nie wiem, czyby one tak straszne dla nas być miały, jak drudzy powiadają, alz srom się dostać rzeczypospolitej w ręce Górków, Czarnkowskich i Zborowskich. Smutna rzecz wojna domowa, ale my jej nie poczniemy.

— A uniknąć nie potrafimy—dorzucił Wąsowicz.

Dniało już, gdy ostatnie jeszcze zdrowie królewskie wypiwszy rozchodzić się poczęli, a Bajbuza po wielu nocach bezsennych, gdy padł na posłanie, snem kamiennym zasnął.

W Warszawie i na zamku teraz hetman rozpoczął układy z posłami szwedzkiemi o *Pacta Conventa*; tymczasem na przedmieściach rozłożeni Zborowscy i cesarscy pod Tarczynem i Powsinem wojska rozmieścili, biesiadując a pijąc zabierali się do drugiej elekcyi.

Każdy ich ruch i czynność hetmanowi były wiadome; często nawet bardzo tak upojone żołdactwo schodzili ludzie Zamojskiego, że mu wielką klęskę zadać mogli, ale rozpoczynać pierwszy wojny hetman nie chciał.

Niemal trzy tygodnie już upłynęło od wyboru Zygmunta, gdy na zamku dowiedziała się królowa, iż wieczorem około dziewiątej na półzegarzu, Woroniecki biskup-nominat kijowski Maksymiliana królem okrzyknął i w kościele *Te Deum* cicho odśpiewano.

Garstka tych, co go mianowali, tak była szczupłą, iż elekcya śmieszną się wydawała; lecz nie szło ani o jej prawomocność, ani o zachowanie form wymaganych, ale o pozór tylko, któryby Maksymilianowi z wojskiem wtargnąć dozwalał,

Królowa Anna strwożyła się i zapłakała znowu. Hetman milczał, ale niezmiernie był czynnym. Dwa obozy przeciwne ocierały się w Warszawie o siebie.

Już i naszemu rotmistrzowi dłużej tu pozostać nie było można, Zamojski ciągnął go z sobą do Krakowa, którego bronić musiano od przewidzianego najścia wojsk cesarskich.

Ponieważ nadedniem wyciągać musieli, Bajbuza wieczorem poszedł żegnać królowę.

Tak mówił, w istocie jednak, oprócz niej, księżnę widzieć chciał, której w ostatnich czasach nie mógł nawiedzić. Kaliński tylko mu donosił o niej i ukłony a pozdrowienia przywoził.

Chociaż wojna taka, gdzie się brat z bratem mógł spotkać, nikomu się nie uśmiechała, a najmniej Bajbuzie, rad był, że w pole się wyrwie. Życie to na pół w mieście, pod namiotem, wśród niepokoju ciągłego i wzajemnych zasadzek, dokuczyło mu wreszcie. Strzelanie z za węgłów oburzało.

Z wesołą twarzą stawił się na zamku, gdzie znalazł zwykłe towarzystwo królowej, jej podżyłe panie. Wśród tych głów szronem okrytych jak kwiatek wiosenny błyszczała księżna Teresa, i ku niej też chciwie się oczy wszystkich zwracały.

Zobaczywszy rotmistrza sama pierwsza zbliżyła się do niego.

— Kaliński mi powiada, że opuszczacie Warszawę – rzekła. — Sądziłam, że pozostaniesz rotmistrzu, jako straż przy królowej?

— A! nie! hetman mnie ciągnie z sobą iść muszę — rzekł Bajbuza — dłonie świerzbią, aby tych zuchwalców skarcić, którzy już wszelką miarę przebrali. A wy, księżno?

— Ja? — odparła wdowa oczy spuszczając. — Czasu wojny na wsi, chociażby nawet w naszym cichym kącie nad Styrem, siedzieć jednej kobiecie trudno. Królowa mnie chce mieć przy sobie. Nie mam też nic lepszego do czynienia.

— No — przerwał śmiejąc się Bajbuza – i weselej wam tu, bo na pretendentach, jak słyszę, nie zbywa.

Spojrzała mu w oczy piękna wdowa.

— Trudno mi zabronić zbliżać się do siebie — rzekła — ale ja o żadnych nie myślę, bądźcie pewni.

— Nie widziałbym też w tem nic dziwnego, ani zdrożnego, gdybyście myśleli — odezwał się Bajbuza.

— Wiecie — przerwała mu księżna — żem tego świętego stanu małżeńskiego zakosztowała. Nie zostawił mi on po sobie wspomnień, któreby do ponowienia ślubów zachęcały. Dlatego wdową chcę pozostać.

— A cóż pocznie piękny Kostka? — zapytał Bajbuza.

— Nie wiem, ożenią go z Dulską zapewne — dodała księżna.

— A kniaź Olelkowicz? — szepnął rotmistrz.

Zarumieniła się zapytana.

— I o tym wiecie? — wtrąciła — ale tenby mi mógł być ojcem.

— Właśnie dlatego mężemby sobie życzył zostać, aby przy was odmłodniał — śmiał się Bajbuza. Nie chcecie i jego?

Księżna tylko ruszeniem ramion odpowiedziała.

— Słyszałem i o jakimś Spytku — dorzucił Bajbuza.

Nastąpiło milczenie.

— Wszystko więc wam donoszą — odezwała się po chwili.

— Bo wiedzą, że mnie to żywo obchodzi, co księżnie szczęście lub... frasunek przynieść może — rzekł Bajbuza.

Westchnął nieznacznie, lecz jakby się uląkł tej oznaki uczucia, począł zaraz żartować sobie z Kostki i jego odgróżek.

— Ten mnie gotów zgładzić — rzekł — bo posądza, iż ja mu u was sprawę psuję. To pewna, że naprawiać jej nie myślę, bo młokos mi się śmieszną wydaje lalką, zakochaną w sobie. O Olelkowiczu to tylko wiem, że stary, bogaty, i że dzieci nie rade były drugiemu małżeństwu, więc przeszkadzać będą, a późniejby nieprzyjaciółmi się stały.

Naostatek Spytek — mówił powoli Bajbuza — wielkiej rodziny a miernego mienia, nie zbyt młody, w życiu być ma trudnym i popędliwym.

— Ale ja, wierzcie mi, o żadnym z nich nie myślałam i nie myślę — żywo wtrąciła księżna. — Dajcież mi pokój z ożenieniem. Raczejbym rada was wyswatać.

Bajbuza spojrzał na nią zdziwiony.

— Mnie? mnie?

— Dlaczegóżby nie?

— Bo ja rychlej na mnicha, niż do stadła stworzony jestem — mówił Bajbuza.—Przeżyłem lat tyle samowolnym panem, iżbym może inaczej żyć już nie umiał. Oprócz tego dla kraju nic dotąd nie uczyniłem, a wielebym zrobić pragnął. Naostatek tak się przypóźniłem przez nieudolność moją, że siwieć poczynam. Nim się wysłużę rzeczypospolitej, klamka zapadnie...

Mówił to ze smutkiem jakimś głębokim, chociaż starał się wesołym okazać.

A że wdowa m. nic już odpowiedzieć nie umiała, zwróciła się rozmowa na przyszłego króla. Ponieważ rotmistrz ciekawym był, poszła księżna do królewej wyprosić na chwilkę wizerunku Zygmunta, który ona przy sobie nosiła.

Bajbuza ciekawie się w niego wpatrzył. Wyobrażał on przystojnego dosyć, poważnego wyrazu twarzy młodzieńca, ale malarz nadał mu i dumy i jakiejś zaciętości tyle, iż fizyognomia nie pociągała ku sobie. Było w niej coś zamkniętego, tajemniczego, a przy młodości odbijającego przedwczesnem ostygnięciem.

Oddając wizerunek rotmistrz nie rzekł ani słowa.

— Podoba się wam? — zapytała go księżna.

— Z malowanego o żywym sądzić trudno—szepnął Bajbuza — czemś obcem i cudzoziemskiem mnie odstręcza. Wiem, że pięć czy sześć języków umie, że między temi i polski być ma, którym do matki pierwsze w życiu wymówił wyrazy, ale czy on ten język i nas kochać będzie?

— Królowa za niego ręczy—pośpieszyła księżna.

— Daj Boże!—zamknął rotmistrz. A że godzina późna była, a dodnia ku Krakowu miał ciągnąć, począł się więc żegnać.

— Do widzenia w Krakowie — odezwała się z pewnem wzruszeniem piękna pani — i niech was Bóg szczęśliwie prowadzi.

Smutnym, smutniejszym niż na zamek wszedł, powrócił Bajbuza, którego przeprowadzał Kaliński.

We dworku już nagie tylko ściany i ławy zastali. Konie były osiodłane, Szczypior piwem grzanem na drogę się krzepił. Węgier, który przy szklance wina siedział, odezwał się do wchodzącego rotmistrza, iż wedle wszelkiego podobieństwa, na tej drodze ku Krakowu, którą ciągnąć miał i hetman i oni, oddziały Górki spotkają.

— Ale hetman powiada—dodał—iż tak zawsze nad ranem, po spędzonej u beczek nocy, głębokim snem spoczywają, że będziemy mogli bezpiecznie ich pominąć i nikt się nie przebudzi.

— A toćby pora właśnie napaść i wybić to paskudztwo — krzyknął Bajbuza.

— Uchowaj Boże! — zawołał węgier. — Rozkaz jest najwyraźniejszy pana hetmana, abyśmy pierwsi nie rozpoczynali, i nie porywali się. Jeżeli śpią, mamy ich pominąć.

Rotmistrz wargi zakąsił.

— Taki jest rozkaz hetmana? — zapytał

— Sam to z ust jego słyszałem—odparł węgier.

— A więc spełnimy, co nakazano — zamknął rotmistrz.

Na koń!

— Na koń! na koń! — powtórzono na podwórcu.

Dzień się robić zaczynał, gdy oddział poruszył się w porządku i milczeniu, z rotmistrzem i Szczypiorem

na przedzie. Miasto spało jeszcze, oprócz tych, których wyciągające oddziały hetmana pobudziły. Sierpniowy poranek duszny był, chmurny i zdawał się zapowiadać burzę.

Pominęli już ostatnie dworki i chatki za miastem w ogródkach rozsiane i wyjeżdżali w pole, gdy w lewo, tuż ponad gościńcem ukazał się obóz Górki i Zborowskich. Połamane wozy, porozbijane beczki, kilka zdechłych koni, rozsypane kawały drzewa, pokruszone kopie, wszelkiego rodzaju śmiecie, naprzód znaleźli nad drogą. Ale tuż... o dziwo! na ziemi rozciągnięte leżały we śnie najgłębszem pogrążone straże obozowe.

Rotmistrzowi to niedbalstwo tak się wydało dziwnem i nieprawdopodobnem, że oczom prawie nie wierzył własnym. Stanął.

— A toćby ich tu w tym śnie i wyrzezać i powiązać i zbić można na miazgę, nimby się opamiętali i za oręż pochwycili!

Rusznice w istocie stały o wał poopierane, broń zdala była rozłożona... Bajbuza drżał.

— Hetman ich pominąć kazał nie zaczepiając— rzekł Szczypior, który po twarzy rotmistrza poznał, jak niezmierną miał ochotę wpaść na tych ciurów.

— Spełnimy rozkaz hetmana—odezwał się stłumionym głosem Bajbuza—ale na miłość Bożą, niech ja się choć zabawię!

Skinął na węgra i wskazał mu uśpione straże.

— Kardoszu mój—szepnął — nic im nie czyń... ale to są żołnierze, myśmy też nimi. Straż śpiąca, to wstyd dla wszelakiego rycerstwa... Macie przy siodłach postronki... Każdemu z nich zatknąwszy gębę po pięćdziesiąt...

Węgier się uśmiechnął. Bajbuza nie czekając spełnienia rozkazu natychmiast jechał dalej. Odwróciwszy się tylko, on i Szczypior mieli przyjemność widzieć, że polecenie rotmistrza spełnione zostało [1]). W mil-

[1]) Historyczne.

czeniu, bo im nie dano ust nawet otworzyć, a spali jak zabici, czeladź wojskowa przykładnie ich chłostała.

Oćwiczeni wyrwawszy się z rąk uciekali do śpiącego obozu, ale wstyd im krzyczeć nie dawał.

Gdy pominięto straże i czaty i okop, który niedbale usypany opasywał obozowisko, na znak Szczypiora uderzono w kotły i bębny, zagrały trąby i surmy, a kopijnicy, których szkarłatne z białym proporce długie, wiatr szeleszcząc unosił, raźno kłusowali ku Krakowu.

Kto o tej chłoście haniebnej zawiózł do Warszawy wiadomość, nie było wiadomem, ale dnia tego śmiano się ze straży oćwiczonej na zamku, szydzono z niej na ulicach, a Górka, któremu usłużny jakiś komornik doniósł o tem, wpadł w niewysłowioną wściekłość. To pewna, że nie tyleby go bolało może, gdyby mu straż wyrżnięto w pień. Pogarda z jaką sobie postąpił Zamojski (bo to na jego naturalnie rachunek wciągnięto), była nieznośniejszą nad wszystko.

Po tej bolesnej nauce oddziały też Zborowskich, Górki, Czarnkowskiego, Jazłowieckiego, ruszyły się, gdyż rakuszanie chcieli ubiedz Kraków, spodziewając się co chwila przybycia Maksymiliana.

Ale temu wcześnie zapobiegł Zamojski, zamek i miasto były obwarowane, strzeżone, zawarte.

Pozostawały przedmieścia tylko, szczególniej Garbarze, niemcami osiedlone, gdzie Zborowscy, rakuzcy stronnicy wcześnie zawiązali stosunki. Tu starczył dla mieszczan urok imienia cesarskiego, aby ich pociągnąć. Zdawało się im niepodobieństwem, ażeby potężnemu panu Zamojski sam z garścią zaciążnych mógł podołać. Niemcy tutejsi, obietnicami wielkiemi złudzeni, gotowi byli wpuścić pomiędzy siebie żołnierzy. Obsadzenie przedmieścia mogło dać w ręce rakuszanom miasto same, a to posiadłszy i o oblężenie zamku mogli się kusić.

Wszystko to knowało się w tajemnicy i milczeniu,

ale hetman miał swych ludzi wszędzie i języka dostał zawczasu.

Zmuszeni zdobycie Krakowa odroczyć do zebrania sił znaczniejszych, a potrzebując mieć jakiś punkt oparcia, gdzieby nadciągającego Maksymiliana przyjąć mogli, Górka ze Zborowskimi pośpieszyli ku Wiślicy, która jako miejsce przyszłego zjazdu szlachty wyznaczona została. Zajęcie jej w istocie było opanowaniem stanowiska ważnego.

Miasto, pomimo murów i bagien je otaczających, pozbawione załogi, ubieżone zostało dość szczęśliwie przez Krzysztofa. Zarazem Andrzej oburzającym gwałtem pierwszy krok swój czynny oznaczył. Dowiedziawszy się o pobycie sandomierskiego kasztelana Stanisł. Tarnowskiego we dworze starościńskim w Stobnicy, (o którą się dobijał z nim razem u Stefana), nocą wpadł na domostwo, zajęte przez niego i rodzinę. Zabito kilku dworzan, uwięziono jego, żonę i dzieci, zabrano pieniądze i kosztowności i Tarnowskiego w pętach odesłano do Wiślicy.

Gwałt ten z pewnością nie poprawił sprawy Zborowskich, którzy się nim okazali wierni swemu charakterowi.

Czyniło go wstrętniejszem jeszcze bezkrólewie, w czasie którego bezpieczeństwo publiczne obwarowane było najsurowszemi przepisami.

Wymuszono na Tarnowskim za przywróconą swobodę wyrzeczenie się starostwa, zabranych pieniędzy, uczynionych szkód i krzywdy wyrządzonej.

Wiślicę zajętą Zamojski natychmiast musiał odzyskać i pociągnął z największym pośpiechem z całą swą siłą. Łączył się z nią Tęczyński. Zborowscy nie spodziewali się, nie mogli przewidywać tak nadzwyczaj prędkiego przybycia, rachowali też na to, że obrona Krakowa wstrzyma hetmana.

Zamknięci w mieście Zborowscy gotowali się do obrony rozpaczliwej, ale nie myśląc o zdobywaniu warowni, hetmanowi starczyło zawarcie ich w niej i uczy-

nienie bezwładnymi. Po spędzeniu dział z wysepki, z której oblegających rażono, Zborowscy musieli nieruchomie pozostać w murach.

Nie tracąc chwili, zjazd zwołany do Wiślicy postanowił hetman odbyć pod Wiślicą, w oczach niemal Zborowskich, którzy ani mu przeszkodzić, ani w nim udziału brać nie mogli.

Ztąd wysłano, nie po raz już pierwszy posłów do arcyksięcia, którzy mu uchwały obrad i nieprawość jego wyboru mieli okazać, żądając, aby w granice Polski nie wkraczał.

Zygmunt już stanął podówczas w Gdańsku. Po odbytych naradach opuszczono Wiślicę, nie myśląc jej oblegać. Poczęły się harce, zabiegi, podstępne zmowy, aby to Kraków ubiedz dla Maksymiliana, to z drugiej strony obronić się, zaskoczyć, nieprzyjaciela onieśmielić.

Bajbuza ze swymi kopijnikami, choć ich nie wielu miał, ale, że na nich rachować było można, ciągle przy hetmanie się trzymał.

Jako żołnierzowi to życie czynne, całe na czatach lub w potyczkach, niedające spocząć, ale trzymające człowieka w ciągłej gorączce oczekiwania, było mu pożądanem i miłem, lecz w nim niejeden tylko był żołnierz.

Dawał się rycerskiemu duchowi unosić i ciągnąc w pole, zapominał o wszystkiem, lecz gdy pod namiotem później przyszło mu spocząć samemu, podumać, rozważyć, ocenić co się to około niego działo, człowiek brał górę i smutek go ogarniał.

Nigdy jeszcze w życiu z takiej strony nieko rzystnej nie przypatrywał się tej braci swej, którą kochać pragnął, a zmuszony był się nad nią litować. Tysiące przykrych wątpliwości piersi mu wypełniało i głowę uczuciami i myślami, którym się obronić nie mógł.

Nie miał się nawet przed kim wyspowiadać i poskarżyć.

To też przychodziły na niego takie godziny pogrążenia w sobie i nieprzezwyciężonego smutku, że Szczypior zastając go z głową spartą na rękach i brwiami ściągniętemi, posądzał o wcale inne powody tego znękania.

Przypisywał mu taką okrutną tęsknicę za śliczną ową księżną Teresą.

Na prawdę zaś Bajbuza, który tak gorąco ciałem i duszą się rzucił w ten wrzątek i zamęt spraw publicznych, doznawał tego rozczarowania, jakie spotyka każdego, co długo sobie roił, snuł, tworzył świat po swojej myśli i sądził, że go takim znajdzie.

Tymczasem rozbijał się na nim o tyle samolubstwa, dziecinnych fraszek, dumy i próżności, chciwości, rozpasania, lekkomyślności, a tam gdzie trafiał na poczciwych, znajdował ich tak biednie na duchu wyposażonymi, że mu cała odpadała ochota od mięszania się do tego bezładnego ruchu.

Jednego dnia stary arcykapłan był z Górką i Zborowskimi, nazajutrz przechodził do hetmana. Spytek od hetmana przerzucał się do obozu Górków. Rzymski poseł popierał dyssydentów...

Od każdego można się było spodziewać zdrady.

W samym hetmanie, którego znakomitego charakteru Bajbuza nie mógł zaprzeczyć, chwilami grała duma i chęć panowania... Pomiędzy wodzami stronnictw najmniejsze powodzenie budziło zazdrość.

W ostatnich dniach Bajbuza dowiedział się poufnie, iż dotąd wiernie trzymający stronę hetmana marszałek Opaliński, przestraszony tem, że Zamojski znowu może i za tego panowania opanować umysł młodego króla, zaczynał w wielkiej tajemnicy zbliżać się do rakuszan i Górki.

Codzienne te doświadczenia, nieustanne zmiany, które nie zawsze szlachetności charakterów dowodziły, zraziły rotmistrza.

Odpadła go ochota od poświęceń i pracy... nie wiedział, w którą iść miał stronę. Chorągwią dla

niego dotąd był hetman, zaczynał nawet o nim wątpić.

Potrzeba było jednak dotrwać na stanowisku do końca, choćby przez ciekawość, jak się ten zamęt tak długo przeciągający ukończy. Nie uszło przyjaciołom i towarzyszom broni rotmistrza to jego ponure zadumanie, szukali przyczyny i trafiali zawsze tylko na księżnę, o której on właśnie teraz może mniej myślał, bo ta tragikomedya życia publicznego, w którą był wmięszany, podnosiła go nad poziom powszedni.

VIII.

Królowa Anna drżąc oczekiwała przybranego syna, o którym sądziła z jego listów, z opowiadań o nim ludzi, z przeczuć własnego serca, a razem z tem jednak na modlitwach do Boga, czuła, że ta postać, jaką miała przed oczyma, której się spodziewała, taką jaką ona sobie tworzyła długiemi laty, mogła być marą tylko i złudzeniem. Zygmunt zaś wcale inną rzeczywistością.

Ostatni ten zawód w życiu, które było go pełnem, byłby ją zabił.

Jak tylko się królowa dowiedziała, iż Zygmunt ze Szwecyi wypłynął i był spodziewany w Gdańsku, nie mogąc sama pośpieszyć na jego spotkanie, wśród kraju z powodu partyzantów Maksymiliana nie wszędzie dla niej bezpiecznego, musiała czekać na siostrzana w Piotrkowie.

Kaliński się ofiarował, bądź co bądź, dotrzeć do

Gdańska, a tam znaleźć środki, posły, ludzi, aby królowę ciągle uwiądamiać o podróży Zygmunta.

Niewiedziała o tem wcale Anna, że stary król Jan III, zrażony naleganiami Polaków o ustąpienie Esthonii, pod błogosławieństwem synowi nazad powracać kazał i zrzec się korony. Nie wiedziałą o tem, że przy boku młodego pana będący księża Gołyński, ks. Rabe i inni, tak mu malowali stan nieszczęśliwy rzeczypospolitej, iż młody pan postanowił już był w duchu koronę mu ofiarowaną, jakby ona była jabłkiem do zjedzenia, ustąpić arcyksięciu austryackiemu Ernestowi, z warunkiem tylko, aby sobie siostrę jego Annę wziął za żonę.

O tych wszystkich strasznych, poczwarnych planach, stara królowa nie miała pojęcia.

Nie były też one tak głoszone, aby po za izby króla młodego w świat wylecieć miały.

Ofiarę Kalińskiego przyjęła królowa z wdzięcznością wielką, kazała mu dać listy do JMMP. Rad miejskich miasta Gdańska, do kilku burmistrzów, zmogła się na bardzo szczupły wiatyk dla niego i Kaliński ruszył.

Jak sobie tam w miejscu radę dawał; nie wiadomo, lecz mimo niepozorności swej, prostoty, umiał trafiać do celu, i listy jego były tak dla starej królowej pożądane, iż nigdy może od sióstr dawniej, niecierpliwiej oczekiwanemi nie były.

Rozumie się, iż poczciwy Kaliński już o dwór się ocierając do tyla był dyplomatą, iż nie wszystko pisał jak widział, i co było smutniejszego zachowywał dla siebie. Listy do królowej, rodzaj gazet pisanych, brzmiały uwielbieniem dla młodego pana i podziwem nad zapałem, jaki okazywano mu wszędzie przyjmując pożądanego.

Inną drogą zmienione nieco gazetki te słał Kaliński przyjacielowi Bajbuzie, który go tak owym rzędem i czaplą kitką ujął za serce, iż go czcił i wielbił a podnosił nad wszystkich.

Do królowej też nadzwyczaj było posłowi jej trudno napisać prawdę o towarzyszce Zygmunta, siostrze jego Annie, która z nim razem przybywała, ale różniła się od niego całem niebem, jak się naówczas wyrażano.

Króla młodego otaczali Jezuici, a gdy się pośmiać chciał, przychodził w wyszarzanej laika sukience ks. Kapusta, *nomen omen*, prostoduszna istota, który głupkowatemi odpowiedziami go zabawiał.

Królewna Anna przy sobie księży katolickich znosić nie mogła, zowiąc ich bałwochwalcami, papistami, faryzeuszami, tak, że częstokroć i Zygmunta i jego towarzyszów do rozpaczy przyprowadziła. Nawracać ją nie było sposobu, wymódz na niej nawet przyzwoite milczenie trudno było, tak, że najczęściej rozdzielano króla młodego od niej, zostawiano ją samą, i musiano przez szpary patrzeć, gdy sobie do towarzystwa mistrzów protestanckich ściągnęła.

Czyniła zaś to często na przekorę bratu, a więcej jeszcze Jezuitom przy nim będącym, którzy nie śmiejąc wojować z kobietą, z królewną, udawali, że nie słyszą, udawali że nie widzą, czynili jakby nie rozumieli.

Postępowanie to gorszące królewnej Anny starano się zatrzeć, pokryć, osłonić, gdy ona przeciwnie chciała je mieć głośnem. Ztąd nieustanne szorstkie starcia, a dla Zygmunta niewyczerpane źródło utrapień.

Jakkolwiek księża byli pewni, iż umysł młodego króla opanowali i nie potrzebowali się obawiać, aby im go wydarto, wpływ siostry, słuchanie jej ironicznych naigrawań z katolickich obrzędów, z relikwij, z nabożeństwa, niepokoiło stróżów sumienia.

Kaliński, który dzięki listom i pozawiązywanym stosunkom, wszędzie się umiał docisnąć, a zaraz pierwszego dnia do Leśniowolskiego się dostał, który z królem przybywał, z dworem szwedzkim i z duchownym się poznał, uderzony był zafrasowa-

niem, smutkiem, widoczną niechęcią, z jaką Zygmunt witał nową swoją ojczyznę.

Znalazł go dziwnie chmurnym, milczącym, dumnym i uciekającym co chwila do swych pokojów, do swej poufałej służby, do swych tajemniczych zajęć i nabożeństwa.

Pobieżny nawet uśmieszek nie zjawił się na twarzy posępnej Zygmunta.

Wszystkim wydawał się on pięknym, lecz ani w nim jagiellońskiego nic, ani polskiego nie było... hiszpan, szwed, cudzoziemiec był jakiś, choć po polsku powoli, ale czysto mówił i pięknie.

W kraju jak Polska, gdzie tak niepomiernie puszczano wodze swadzie, przywiązywano taką wagę do retoryki, sypano mowami z taką ochotą, król milczący z trudnością mógł podbić serca.

Po Batorym, który po łacinie i z żołnierskim lakonizmem się odzywał, mruczek taki, który mówić poprostu nie chciał, smutnym był nabytkiem.

Ani twarzą, ani mową serc sobie nie mógł pozyskać.

Od domowników się dowiedział Kaliński, że pan młody był jednak nadzwyczaj obdarowanym od natury i do wszystkiego zdolnym.

Co się tyczy rycerskich spraw, świadczono, że mężnym był, ale się w wojskowej sztuce i zabawach nie kochał.

Lubił za to kant, muzykę, obiecywał sławną utrzymywać kapelę, i własnoręcznie do kościołów wyrabiać monstrancye i kielichy.

Talenta te Kalińskiego czyniły niemym. A cóżby robili złotnicy przy Grodzkiej ulicy?

To mu przyznawał poseł królowej Anny, że się nader pańsko stawił i znać w nim było na pierwszy rzut oka potomka wielkiego rodu.

Królowej Annie ręce drżały odbierając te listy. Obok nich przychodziły i od samego Zygmunta. serdeczne ale sztywne i kancelaryjnym stylem układane.

Królowa napróżno szukała w nich tej oznaki jakiejś poruszenia serca, która dla niej nadewszystko droższąby była.

Tak z jednej strony odbierając doniesienia od Kalińskiego, z drugiej wieści od Krakowa sprzeczne, raz o powodzeniach hetmana, to znów o siłach, gromadzących się groźno, Maksymiliana, który swą elekcyę zawsze za najprawowitszą w świecie uważał, królowa nie miała chwili pokoju i pociechy.

Była to prawdziwa tortura moralna, w której zimno i upał mieniały się nieustannie, nadzieje i zwątpienia.

Ludzie nie oszczędzali jej najprzykrzejszych baśni, zmyślań, postrachów. Jedyną pociechą było tylko, że przedniejsi senatorowie, prymas, panowie, czoło narodu, śpieszyli połączyć się z Zygmuntem, jako z wybranym przez się monarchą, jedynym jakiego uznawali.

Chwili, gdy naostatek marzenie lat długich się ziściło i Anna mogła siostrzana, syna w nim uścisnąć, tego, co się w jej sercu działo podówczas, żadneby pióro nie opisało. W duszy nuciła tę pieśń ziszczonych nadziei, której się już nie spodziewała dożyć. Teraz, odpuść mnie Panie.

Syn ten przybrany wydał się cudownie pięknym, zjawił opromieniony wszystkiemi przymiotami, jakie tylko zamarzyć dlań mogła.

Śmiała się, płakała, obejmowała go, klękała przed nim, i nawet lodowaty chłód przybysza musiał nieco tajać, gdy się znaleźli sam na sam.

Uprzedzoną była królowa o Annie, którą witała czule, ale z pewnem zakłopotaniem, a ona też wcale się ciotce nabijać nie myślała.

I król i ona, gdy się znaleźli sami w komorze zamkniętej, na zapytanie, jak się im Polska podobała, odpowiedzieli, że wyglądała smutnie i ubogo. Była to też pora jesienna, w której kraj żaden pię-

knym wydawać się nie mógł, a droga jaką przebywali, nie wiodła najpiękniejszemi okolicami.

W Piotrkowie długo spoczywać nie było można. Zarówno z przybyciem Zygmunta nadeszła wiadomość, że jazda Maksymiliana opanowała Przedborz, a Opalińskiego oddział rozbiła i w części w niewolę zabrała. Oprócz tego pochwycono pachołika wysłanego tu umyślnie, aby miasto podpalił, i w istocie pożar został podłożony.

Przez dni dwa nie rozbierał się król i spać nie kładł, czuwali wszyscy, ścigano oddziały, spodziewano się napaści.

Maksymilianowe hufce wyprawione dla opanowania Piotrkowa, uznały go wszakże trudnym do zdobycia i popłoch tylko wznieciwszy cofnęły się. Ale co gorzej, szlachta wielkopolska i sieradzka, która się do króla ściągała, znużona powoli rozchodzić się zaczęła! Siły Zygmunta się uszczuplały. Doradzono królowi nocą i potajemnie wyciągnąć do Warszawy.

Był to ruch, jak się okazało, umyślnie na obałamucenie nieprzyjaciela tylko obrachowany. Puszczono wieści, że Zygmunt do Szwecyi powraca, tymczasem on nagle wstecz się do Krakowa skierował, przeszedł Pilicę pod N. Miastem, potem Wisłę pod Korczynem i tym sposobem rzeką się od obozu Maksymiliana obwarował.

Królowa z Anną udały się do Warszawy.

Pożegnanie z Zygmuntem kosztowało łez wiele. Ona, co wszystko poświęciła, aby go do tego tronu doprowadzić, ofiarami niezmiernemi, musiała z ust jego usłyszeć, że gotów zrzec się korony dla Ernesta i Anny, a sam woli do Szwecyi powracać.

Pierwsze te dni panowania najprzykrzejsze na nim uczyniły wrażenie. Słyszał tylko o rozterkach, widział kraj rozdarty, nie było nadziei przejednania; młody, niedoświadczony, gdy i ojciec nalegał aby się cofnął, przyznał się ciotce, iż nad wszystko wolałby to uczynić.

Anna padła łzami zalana, nie znalazłszy wyrazów na odpowiedź. Zygmunt z takim chłodem jej oświadczał to postanowienie swoje, z takiem niemal okrucieństwem, że słowy temi miłość jej dla siebie na chwilę zachwiał. Oburzyła się na niewdzięczność, lecz nie rzekła słowa.

Jeszcze jeden ten zawód, to była śmierć.

Szczęściem litościwi ludzie, otaczający Zygmunta, Leśniowolski, biskupi, którzy wyjechali na jego spotkanie, potrafili to zniechęcenie wystawić jej jako rzecz przemijającą, jako słowo na wiatr rzucone, którego spełnieniu nawet o własną cześć troskliwość dopuścić nie mogła.

Zmuszono niemal króla, aby szedł dalej. Kraków był już blizko, dociągnął do Wieliczki, dano znać Zamojskiemu, który tu nadbiegł razem z wielu senatorami i duchownymi.

Maksymilian zmuszony był się cofnąć, nie mając nadziei zdobycia Krakowa, po odniesionej tu klęsce, w której Zamojski, a przy nim rotmistrz nasz cudów męztwa dokazywali.

Bajbuza zapomniał wśród upału tej morderczej walki o smutkach swych, znowu się przeistaczając na wojaka. Trupami usłane zostało pobojowisko, zdobyto łupy wielkie, a mieszkańcy przedmieścia, którzy zdradą wprowadzili do niego Maksymiliana żołnierzy, w pień wycięci zostali.

Na tych zgliszczach rotmistrz stojąc, gdy ochłódł, chciał prawie skruszyć szablę i wracać do domu, tak mu krwią zapłynęło serce. Widok tych okrucieństw, zdziczałego żołdactwa, obmierził mu rycerstwo.

Szczypior poznać go nie mógł, gdy blady a z nasępioną twarzą powrócił nocą do izby, przeznaczonej dla spoczynku.

Wszystko dokoła wrzało radością zwycięztwa, której jeden Bajbuza nie podzielał Nie umiano tego sobie wytłumaczyć.

Następnych dni tak go mało już obchodziło co

się działo, że gdy mu oznajmiono. iż razem z hetmanem ma naprzeciw króla jechać, ledwie się zgodził na to, aby swą szmelcowaną kazać dobyć zbroję i towarzyszyć kopijnikom.

— Ale cóż bo ci jest, rotmistrzu?—wołał Szczypior, który dwa razy lekko ranny, śpiewał po całych dniach, tak mu zwycięztwo serce rozszerzało.— Co ci jest?

— Nic—rzekł Bajbuza—poprostu już mnie jatki te ostatnie do walki zraziły. Zda się to-li na co? Bóg wie? a ludzkich żywotów, a rodzin i szczęścia wieleśmy zgrabili i zniszczyli.

Od takich wojen Panie Boże strzeż i uchowaj, a jeszcze nie wiemy, jakiego się pana tym kosztem dobijamy.

Ruszył ramionami.

Szczypior stał, słuchał i wcale nie rozumiał. Wstyd mu się do tego przyznać było. Szanował wielce Bajbuzę i wierzył zarówno w rozum jego i serce, coś więc w tem tkwić musiało? Szczypior pojąć tego nie umiał.

Bajbuza, którego już po listach Kalińskiego w części wielka ciekawość oglądania nowego pana odpadła, ledwie się nieledwie dał namówić na to, aby w orszaku hetmana jechał go spotykać.

Lecz raz się zaprzęgłszy, trzeba było ciągnąć do końca.

Mruknął tylko.

— Król przybywa, ukoronujemy go nareszcie i niech się to raz wszystko skończy. Zborowskim i Górkom przebaczym i niech pokój zakwita, a my z tobą pojedziemy na Podole tatarów bić, to lepiej.

Szczypior, który ani tak głęboko, ani tak daleko wzrokiem nie sięgnął, zmilczał.

Trzeba było tedy kopijnikom nowe proporce kazać szyć, drzewce pościerane malować i złocić, konie im dokupywać, bo Bajbuza musiał wystąpić, choćby dlatego, aby się Szczypior za niego nie wstydził.

Gdy przyszło do odziewania się w drogę, chorąży stoczył jeszcze raz walkę z przyjacielem, zmuszając go do włożenia na ramiona najbogatszego sahajdaka, do przybrania konia w turkusy rząd i kapę szytą itd.

Bajbuza od tej rzezi garbarzy u Szewskiej bramy, ciągle krew widział na sobie. Z obojętnością człowieka, który do tego nie przywiązuje wagi, dał wreszcie Szczypiorowi rozporządzać się jak chciał, i z posępnem obliczem pojechał za hetmanem, który rozpromieniony śpieszył — zwycięzca, pewien najwdzięczniejszego przyjęcia!

Przyjęcie króla po świeżych wypadkach, gdy się na nie przygotować nie miano czasu, zostawiało wiele do życzenia i nie było tak wystawnem i wspaniałem, jak hetman i senatorowie pragnęli. Uczyniono jednak, na co się zdobyć było można.

Wyjechał w poczcie okazałym z duchowieństwem i pp. senatorami świeckimi w liczbie dosyć znacznej hetman Zamojski. Wszystkich oczy zwrócone były na króla, który z powagą nad wiek swój, zimny, sztywny, z chmurą na czole, nie okazując najmniejszego poruszenia, a Zamojskiemu żadnego szczególnego względu, przyjął przemówienia i powitania radośne.

Można się było z obejścia się ostrożnego z hetmanem domyśleć, iż uprzedzonym i przestrzeżonym być musiał, i więcej może obawiał się go, niż skłonnym był do oddania się całkowitego, jak się niektórzy lękali. Wiedziono go potem uroczyście na Kaźmierz, na Stradom, przez wały, ponad murami miejskiemi aż do strzelnicy. Wszędzie lud mnogi, świątecznie poubierany, ciekawy tłoczył się i cisnął dla oglądania oblicza młodego pana który nawet zbytniej ciekawości nie okazując, zaledwie oczy podnosił.

Przed strzelnicą oczekiwali nań mieszczanie krakowscy, burmistrze, wójtowie, ławnicy, kupcy i panowie kollegiaci akademii krakowskiej. Dalej stały oddziały wojskowe, postrojone jak który mógł

najochędożniej, gdzie i rotmistrz nasz ze swemi kopijnikami niepośledne miejsce zajmował, bo ludzie jego końmi, uzbrojeniem i barwą do najcelniejszych należeli.

Bajbuza mógł podjeżdżającemu się przypatrzyć i zwrócił nań oczy ciekawe, ale z martwej twarzy i powiek spuszczonych, z postawy jakby odrętwiałej nic wnieść nie mógł. Nie pociągał ku sobie młody pan nikogo. Tu hetman wystąpił znowu, garść wojsk zalecając królowi i za wierne jej ręcząc służby.

Jak na pierwszy występ Zamojski miał nawet szczęście złożyć przybyłemu łupy, na jego przeciwnikach zdobyte, dwie buławy, trzy chorągwie pod Krakowem Maksymilianowym odjęte, działa, zbroje i wozy. Na szańcach, wiodących do Kleparza, miano czas sklecić nocą kilka bram zwycięzkich z godłami i napisami. Na jednej ze trzech siedział w gnieździe orzeł biały, trzymający w szponach Snopek Wazów i wyrywanemi z niego kłosami karmił młode ptaszęta.

Była to pierwsza z tych mnogich allegoryi, do których herb szwedzki tak obfitego miał dostarczać wątku. Zygmunt zaledwie chłodnem okiem roztargnionem rzucał na te wysiłki miasta, które uczcić go pragnęło.

Tłumaczyło to położenie kraju i stolicy, lecz wjazd ten na nią nie odznaczał się uczuciem, nie wywołał ani zapału, ni radości.

Na twarzach, począwszy od Zygmunta, nic wyczytać nie było można oprócz znużenia, a hetman, który z początku dosyć się zdawał ożywionym, powoli także ostygał. Oko jego badało Zygmunta, a doświadczenie dozwalało mu czytać w nim już uprzedzenie przeciwko sobie.

We Floryańskiej bramie zatrzymał króla raz jeszcze, imieniem senatu, biskup kamieniecki Goślicki, i długą, zbyt długą mową witał go, składając mu życzenia i błogosławiąc —*prospere, procede et regna.*

Z całego dnia tego jedyną chwilą, w której uderzyły serca i rozjaśniały się czoła, była ta gdy Zygmunt naostatek podniósłszy oczy, Goślickiemu odpowiadając odezwał się po polsku! Dźwięk tej mowy w jego ustach wywołał nieopisany zapał i zapłacił za wrażenia, jakie poprzedziły ten moment uroczysty. Mowa ta w jego ustach była jakby ślubem z narodem i ziemią.

Wszystko to tak przeciągnęło przybycie do kościoła na Wawelu i na zamek, że nabożeństwo dziękczynne odbyło się już nocą, przy świecach, a na spoczynek król zaledwie mógł się udać po północy.

Bajbuza, który pragnął własnemi oczyma wróżbę przyszłości wyczytać w Zygmuncie i śledził każde jego poruszenie, udał się na Wawel za nim, ludzi swych odprawiwszy, dotrwał na nabożeństwie i późno powrócił do czekającego na niego Szczypiora.

Jedno pytanie powtarzało się wszędzie:

— A cóż król? a cóż? młody pan?

Powszechnie chwalono postawę pańską i powagę, ale znajdowano go zimnym. Drudzy tłumaczyli to nieśmiałością. Bajbuza, który się nieraz w życiu przekonał, że ludzie na ludziach w tajemniczy sposób jakiś działają przy pierwszem zaraz najczęściej zetknięciu się z sobą, milczał, bo odebrane wrażenie było słabe i niejasne. Postać ta została dlań tajemnicą.

Na obliczu hetmana czytali wszyscy więcej troski niż radości z doprowadzonego do końca trudnego wyboru.

Nie ulegało wątpliwości, że jemu tylko i królowej Annie winien był Zygmunt swe powołanie na tron. Zamojski przewidywał, że brzemię wdzięczności będzie tak ciężkiem, iż król się z niego jakimkolwiek pozorem wyzwolić się będzie starał.

Życie powinno go było nauczyć, że niema nic do dźwigania trudniejszego nad wdzięczność, i że

w naturze ludzkiej jest dobroczyńców nienawidzieć, bo dobrodziejstwo jest rodzajem upokorzenia.

Nie mylił się też przeczuwając, że począwszy od marszałka Opalińskiego, od królowej, od senatorów wielu, którzy pierwsi się do króla zbliżyli, wszyscy już nastraszyć musieli go niezmierną przewagą hetmana, potęgą jego, znaczeniem dla Batorego, roszczeniami, jakie na przyszłość stawić będzie, aby w miejscu niedoświadczonego młodzika panować. Wszystko to zawczasu odstręczało i odpychało od Zamojskiego.

Bajbuza, którego oskoczyli powracającego z zamku przyjaciele, na pytania ich naglące odpowiedział, że nie może wcale sądzić z pierwszego wejrzenia o królu.

— Tyle wiem, co i ichmość wszyscy; że przystojny jest i ostrożny, a w sobie zamknięty. Wczorajszego dnia na chwilę się nie dał poruszyć i lodowatem wejrzeniem mierzył wszystko.

Nazajutrz z zamku tyle tylko przyniesiono, iż wyszedł do pp. senatorów w bardzo wytwornym hiszpańskim stroju, który naówczas na europejskich dworach był modnym.

Rozumie się, iż hetman od rana był na zamku, usiłując się przybliżyć, wyrozumieć pana, zająć to stanowisko, jakiego się tu spodziewał i sądził, że ma do niego prawo.

Po mieście tymczasem chodziły najsprzeczniejsze wieści, które snuto z półgębkiem puszczanych postrzeżeń osób, które królowi ze Szwecyi towarzyszyły, lub od Gdańska z nim jechały.

Jawnem było, że od wylądowania na brzeg, nie widziano go ani razu wesołym, uśmiechniętym, swobodnym. Przez pół dnia siadywał zamknięty z duchownymi swymi, jak mówiono na modlitwie, a przystęp mieli łatwy tylko ci, których księża polecali i wprowadzali.

Bajbuza, pomimo iż sam nie uczuł się pociągniętym do młodego pana, bronił go żarliwie.

— Nie sądźcież, czekajcie. Obcy jest, onieśmielony, nie zna ziemi, po której stąpa, niepewien jest jeszcze nawet, czy się na niej utrzyma. Mówią, że napędziły go listy ojcowskie, nakazujące mu porzucić koronę i do Szwecyi powracać. My się domagamy od niego Esthonii, król Jan jej dać nie chce, a Zygmunt też nie myśli zniechęcać ojca i dla nas czynić ofiar.

Na zamku trwały ciągłe narady i układy, którym nie było końca. Zygmunt się okazywał niewzruszenie upartym. Stał przy swojem.

Z zamku rozeszły się szepty, że gotował się austryakom koronę ustąpić i przefrymarczyć. Oburzenie to wywołało. Jedni nie chcieli wierzyć, drudzy się już odgrażali.

Słowem pierwsze wrażenia tych dni, które często stanowią o przyszłości, nie były dla króla pomyślne.

Hetmana widziano z czołem posępnem, dumnie się przesuwającego po mieście. Leśniowolski miał go o knowaniach przeciwko niemu ostrzegać, których też skutki jawnemi były. Król się ani zbliżyć, ani otwarcie przed nim wywnętrzyć nie chciał. Słuchał milczący, odpowiadał półsłowami.

Drugiego dnia hetman wychodząc od niego zrażony, spotkawszy się z Leśniowolskim, odezwał się do niego z przekąsem.

— Cóżeście to nam za nieme djable przywieźli.

Odstręczony, dotknięty już brakiem zaufania Zamojski tem silniej stał przy wymaganych przez naród warunkach, żądał odstąpienia Esthonii—Zygmunt odmawiał. W kilka dni po próżnych sporach i naradach, król się zerwał z siedzenia zniecierpliwiony.

— Wolę tę koronę stracić—zawołał—niż postąpić przeciwko mojemu sumieniowi i przekonaniu.

Drzwiami rzucił silnie i wyszedł.

Taki był skutek pierwszych rokowań i pierw-

szego zbliżenia się do hetmana, któremu król wszystko był winien.

Mówiono o odłożeniu koronacyi, dopóki król nie podpisał wymaganych pactów, ale w końcu ociąganie się z tą uroczystością, która miała związać nieodwołalnie obie strony, okazało się wszystkim tak groźnem wobec Maksymiliana, który obstawał przy swym wyborze i z wojskiem zagrażał, że hetman uledz musiał i ostatnich dni grudnia naznaczono uroczysty ten obrzęd odbyć, na który zjechać miał Karnkowski.

Rotmistrz nasz nie pozostał przez ten czas bezczynnym, chociaż napozór mógł się nim wydawać. Chodził na zamek, słuchał, patrzał i starał zdać sobie sprawę z położenia, aby wiedzieć co czynić miał dalej.

Wedle jego rozumienia, z którem się nie taił, należało wszelkiemi możliwemi środkami koniec położyć rozterce, wyjść w pole, ścigać nieprzyjaciela, oczyścić z niego Siewierskie i granice Szlązka, zmusić warchołów do poddania się i pokój zyskawszy goić rany, ład nadwerężony silnie zaprowadzać.

Ale nikt go nie słuchał.

Najboleśniejszem dla rotmistrza było, iż widział pomiędzy królem a tym, który mu dał koronę, coraz wydatniejszy rozbrat. Hetman zamiast stać obok, występował w imię narodu przeciw elektowi.

— Wszystko to bardzo się źle zapowiada! — mruczał Bajbuza — mam ochotę kopijników bodaj zdawszy na Szczypiora, sam do Nadstyrza powracać.

Nie ruszał się jednak z Krakowa. A nuż ręki jego jeszcze potrzebować będą? Czyniło to prawdopodobnem wtargnięcie Maksymiliana ku Krzepicom i Wieluniowi.

Niechętni Zamojskiemu, którzy go przy królu nie radzi widzieli i odsunąć usiłowali, wołali w niebogłosy, aby wyciągał w pole. Tam było jego miejsce.

Bajbuza wtórował, ale niewszystko było w gotowości, żołnierz nieopłacony i zniechęcony, broni brak, wstrzymywały. Nakoniec doprowadzono hetmana do

tego rodzaju gorączki i zniecierpliwienia, które dłużej się ociągać nie dozwalały.

Szczypior wpadł uradowany z tą nowiną do Bajbuzy, który nad Boëcjuszem siedział, że w pochód wyruszą. Księga poszła w kąt, odezwał się rycerz w zniechęconym rotmistrzu. Oblicze mu się rozchmurzyło.

Uściskał Szczypiora.

— Wydawaj rozkazy!

Maksymilian nie życząc sobie stoczyć bitwy, dopókiby nie otrzymał oczekiwanych posiłków, z niezbyt wielkim ludem cofnął się do Szlązka, pewien będąc, że na terytoryum cesarstwa hetman go ścigać nie będzie i nie pogwałci granicy.

Lecz Zamojski musiał ze szczęśliwego składu okoliczności korzystać, z ubezpieczenia się Maksymiliana, z nieświadomości jego obrotów i z nadeszłych świeżo posiłków siedmiogrodzkich.

Jasną i mroźną nocą księżycową hetman wyciągnął śpiesznie ku Byczynie, gdzie się znajdował Maksymilian. Posiłki dla niego już się też zbliżały.

Andrzej Zborowski, jako wódz wcale nieodznaczający się dotąd, dowodził. Z innej wcale strony spodziewano się hetmana, który osobiście wziął udział stanowczy w bitwie. On dał hasło do boju, gdy drudzy chcieli stanowczą rozprawę do jutra odroczyć, on sam przebrany podjeżdżał rozpoznawać położenie wojsk Maksymiliana.

Była to jedna z tych walk, w których jeniusz wojskowy Zamojskiego zajaśniał największym blaskiem. Korzystał on ze wszystkiego, z nieświadomości o przyciągających Maksymilianowi posiłkach, z niepewności, od której strony uderzy, z gruntu, na jakim się potykać miano, z godziny zapału, który mogła rozwaga ostudzić.

Pośpiech stanowił o powodzeniu, a zwycięztwo o panowaniu Zygmunta, który zniechęcony już cofnąć się był gotów, najmniejszą spotykając trudność

do przełamania. Najdzielniejszych miał z sobą do pomocy rycerzy Zamojski: Żółkiewskiego, Potockiego Jakóba, Koniecpolskiego, Urowieckiego.

Maksymilian też znaczną liczbą dział wsparty' rachując na przewagę swoich wojsk, a na niedoświadczenie ochotnika i zaciągów polskich, stawał nie bez nadziei zwycięztwa do boju.

Pierwsze hasło dały trąby ze strony Zamojskiego. Ruszyły polskie pułki pierwsze, gdy Maksymilian nie poruszał się wcale. Zapał, z jakim rzucono się do walki, w pierwszej chwili mógł stratą mężnego Holubka ostygnąć, ale nie postrzeżono jej.

Pułki Stadnickich polskie, kopijnicy przeciwko polskim też kopijnikom walczyć musiały. Była to walka braterska, straszna, oburzająca, ale razem do szału mogąca podnieść męztwo rozpaczliwe.

Holubek zabity, Żółkiewski ciężko ranny, wszystko zdawało się wróżyć nieszczęśliwy koniec, gdy Zamojskiego ukazanie się ze strony, z której się go nie spodziewano, osaczając Maksymiliana, jedyny ratunek wskazywało w ucieczce.

Arcyksięcia uprowadzono z placu boju do miasteczka Byczyny, gdy wojska już były rozprószone, rozbite, a Zamojski nie tracąc czasu opasał go zewsząd, aby ujść nie mógł.

Rotmistrz nasz był właśnie w tem spotkaniu, które kopijników jego naprzeciw Stadnickiego pułkowi walczyć zmuszało. Poznali się natychmiast Polacy z obu stron, ale z zażartością jakąś mściwą rzucili się do walki. Niema straszniejszego nad taki Kaima bój. Każda z tych przywiedzionych do ostateczności stron usiłuje swojej winy w przeciwniku pomścić.—Bij! zabij!—krzyczeli jedni i drudzy, obelgami się obrzucając.

Kopijnicy Bajbuzy, których Szczypior powstrzymał nieco, dali Stadnickiego ludowi uderzyć na siebie nie poruszając się. Byli pewni, że ich nie złamią. Napastnicy zmięszali się, splątali, kopij wiele padło nieskruszonych, ale wyrwanych impetem z rąk. Ciężkie

zbroje nie dawały się obrócić i odwet Bajbuzy był straszny; gniótł on zbity nieporządnie tłum, którego część na ziemi leżała, podnieść się nie mogąc. On sam znalazł się naprzeciw Stanisława Stadnickiego dowódzcy i dwaj zapaśnicy z ogromną siłą uderzyli na siebie. Stadnicki padł wysadzony z siodła, ale w tej samej chwili kula ze strony trafiając pod rękę rotmistrzowi, tam gdzie oprocz kolczugi nie miał innego okrycia, przeszyła ją i utkwiła w prawym boku. Uczuł ją dopiero gdy ciepła krew płynąć po nim zaczęła, ale rozogniony nie przestał walczyć, aż osłabły z siodła się zsunął i padł na pobojowisku.

IX.

Gdy Bajbuza oczy otworzył i potoczył niemi dokoła, spotkał naprzód zwieszoną nad sobą twarz smutną Szczypiora. Zimny wiatr przekonał go, że byli w polu jeszcze, leżał na wozie. Około niego krzątali się ludzie.

— Bitwa? – zawołał głosem słabym.

— Wygrana! — odparł krzykliwie Szczypior — wygrana, zwycięztwo wielkie, sam arcyksiąże w niewolę wzięty. Zamojski tryumfuje... łupy ogromne... wojna skończona... nieprzyjaciel w rozsypce.

Przymknął oczy i złożył ręce rotmistrz.

Wierny druh dodał żywo.

— Rana sroga, bo krwi straciliście dużo, nim ją zatamować było można. Przeleżeliście długo na polu... jam głowę tracił szukając, a tu mróz i wichrzysko.

Teraz już wszystko pójdzie jak z płatka... konie i wóz gotowe, ja wam tu nie dam leżeć, powoli po-

ciągniemy do Krakowa, gdzie o lekarzy i o staranie łatwiej.

— A Zamojski? — spytał rotmistrz.

— Cały wyszedł! — wołał Szczypior.

— Żółkiewski?

— Ranny w nogę od kuli działowej, ale mu pono nic nie będzie — mówił chorąży.

— Z naszych?

— Kopijnicy się bili dzielnie, zginęło ich ze dwudziestu, ranni wszyscy prawie, ale te rany się nie liczą, gdy na nogach są. Na placu boju do dwóch tysięcy golonych polskich głów leży, a pewno niemniej długowłosych.

Walka była mordercza — pośpiesznie i gorączkowo ciągnął dalej Szczypior — ale pięknieśmy się bili i nie pierzchnął nikt. Płakać nam po mężnym Hołubku!

— Zginął?

— Trzema kulami go przeszyli.

Wydobyć się ztąd i dostać do Krakowa nie było łatwem, ale Szczypior na węgra zdawszy dowództwo nie odchodził już od wozu Bajbuzy. Znaleźli się też przyjaciele inni, albo lekko ranni lub nawet zdrowi, którzy do Krakowa towarzyszyć się ofiarowali, a jeden z nich, nie mogąc ani kolasy, ani kolebki dla chorego dostać, zdobył gdzieś mniejszy wóz, zwany zbrożkiem, w którym wysłano łoże, i osłoniętego firankami skórzanemi bezpieczniej i wygodniej nareszcie dowieziono do Krakowa.

Tu już zawczasu doktor i łoże i wszystko w najętym dworze było przygotowanem, tak, że Bajbuza, niewiele stosunkowo przecierpiawszy, znalazł się jak w domu.

Na lekarzach naówczas nie zbywało; znalazł się tu za Zamojskim przybyły Buccella, a dawny aptekarz króla Stefana, który też znał się na ranach i balsamach, Angelo Caborto ofiarował się na posługi.

Chociaż osłabiony krwi upływem, ale silnie zbudowany, Bajbuza przychodził do siebie, tak. że mu wyzdrowienie ku wiośnie rokować było można.

Znalazła się też niespodziana opieka, na którą nikt rachować nie mógł, może rotmistrzowi nie nazbyt pożądana, ale i tej odepchnąć nie było można, zwłaszcza, że się zbyt natrętnie narzucała.

Do przyjaciół młodości Bajbuzy i jego towarzyszów broni należał zamożny szlachcic żołnierz dzielny Jeremi Borzkowski, żonaty z krakowianką Wężówną. sławną z piękności kobietą. Temu Borzkowskiemu za drużbę do wesela służyć musiał Bajbuza, a dziwnym losem on go też poległego pod Połockiem pogrzebał. Od tego czasu o Ewie z Wężów Borzkowskiej mało co słyszał rotmistrz, wiedział tylko, że z rodziną męża ułożywszy się o oprawę, w Krakowskie powróciła.

Już Bajbuzie znacznie być lepiej poczynało i rana się goić obiecywała, gdy dnia jednego Szczypior wszedł śmiejąc się.

— Szczęście bo macie Iwaś do gładkich twarzyczek — odezwał się — a toż to, gdyby się tylko nie malowała, bo to się jej na nic nie zdało, piękna jak obrazek jejmość, wdowa po Borzkowskim na gwałt się tu ciśnie, aby waszmości pielęgnowała.

Przypomniał ją sobie zaraz rotmistrz.

— Ewusia? a ona tu co robi?

— Co robi? nie wiem — śmiał się Szczypior — wiem tylko, że ma swój dwór własny w Krakowie, że się stroi jak obraz cudowny, że młoda i piękna, i że się do was na gwałt napiera... Nie chciałem jej puścić pozwolenia waszego nie wziąwszy, a nie wiem, czy zechcecie ją widzieć.

— Czemu nie! wdowa po moim drogim Jeremim! — odparł rotmistrz. — Bylem tylko się trochę mógł przyodziać.

Nazajutrz otwarły się drzwi szeroko, i Szczypior puścił, poprzedzaną zapachem jakimś jejmość panią Ewę Borzkowską, tak strojną, jakby nie do łoża cho-

rego, ale na zabawę jaką się wybrała. Wprawdzie ona nigdy inaczej na świat się nie pokazywała, bo być piękną, uważała sobie za święty i jedyny obowiązek.

Zalotna do najwyższego stopnia, zręczna, żywa, Ewa Borzkowska słynęła z tego, iż zawracała głowy, ale czy nie chciała, czy nie umiała wyjść za mąż, dość, że zaloty zawsze jakoś się dla niej niefortunnie kończyły.

Nie zdawała się sobie tem przykrzeć.

Lat miała dwadzieścia i kilka, a świeżość dziewczęcą i wesołość niczem nigdy niezachmurzoną. Po mężu i po rodzicach dosyć znaczne otrzymawszy mienie, używała go ochoczo, raźno, głośno, nie lubiąc spokoju, a nieustannie nowej szukając rozrywki.

Z dawnych czasów przypominał sobie rotmistrz, iż dosyć mu się przypodobać starała, że go bawiła szczebiotaniem płochem i trzpiotowatością swoją, która jej doskonale przystawała.

Średniego wzrostu, czarnobrewa, czarnooka, biała jak mleko, z rumieńcem lekkim, który moda ówczesna nakazywała sztucznie ożywiać barwiczką, z perłowemi ząbkami, które lubiła pokazywać w uśmiechu, zręczna, smukła... Ewunia stroiła się tak, że jej tego współzawodniczki przebaczyć nie mogły. Miała dar i umiejętność ubierania swej piękności i podnoszenia jej.

Taż sama czasem suknia, zasłonka, klejnoty, coraz inaczej zużytkowane, połączone, nową jej dawały krasę. Mistrzynią w tem była.

Lubiła też, aby przed nią padano. Mężczyzni, a więcej jeszcze zazdrośnice kobiety, zwały ją płochą; ona ruszeniem ramion na to odpowiadała. Z ludzkich złośliwych oszczerstw żartowała, lekceważąc je.

Oprócz piękności twarzy, miała Ewunia głos piękny i muzykalne wykształcenie, które podobno sławnemu Diomedesowi Katonowi, muzykowi podskarbiego Kostki, lubownika wielkiego kunsztu tego, zawdzięczała. A i na dowcipie jej nie zbywało.

Taką to czarodziejkę jednego poranka wprowadził Szczypior do pokoju, w którym rotmistrz przyodziany siedział nad włoską księgą, świeżo mu z kięgarni Marangoniego przyniesioną.

Bibliopola ten naówczas zaopatrywał uczony świat i miłośników ksiąg w Krakowie we wszystkie europejskie nowości, których liczba niewielką była. U niego też zaopatrywali się w polemiczne rozprawy zarówno katolicy jak dyssydenci.

Chociaż lat kilka upłynęło od czasu, gdy piękną Ewunię widział rotmistrz. tak mało była zmienioną, tak nieśmiertelnie wydawała się młodą, iż poznał ją odrazu.

Weszła... cała jakby obłokiem woni oblana.

— Rotmistrzu, ukarz mi swych przyjaciół i służbę — zawołała. — Nie chcieli mnie puścić i byli tak dzicy i okrutni, że się i prośbie i uśmiechom, któremi ich przekupić chciałam, oparli. Alem sobie powiedziała, że szturmem was zdobędę. Moje miejsce było przy łożu chorego, rannego przyjaciela mego kochanego Jeremka!

O kochanym Jeremku mówiła tak swobodnie i wesoło, jakby od lat wielu nie spoczywał w grobie.

Wesoły głosik niewieści mile połechtał może ucho rotmistrza, twarzyczka ta przypomniała mu czasy dawne, wstał więc, rozjaśnionem licem witając pięknego gościa.

— Dziękuję wam, śliczna pani moja!—odezwał się — ale pocóż wy się macie zasmucać widokiem kalectwa i cierpienia? Wam od życia należy wesele.

— A sądzicie, że ja niem dzieląc się z wami, wyczerpię to, które mam w duszu? A! nie! — zawołała siadając na krześle, które jej podawał wyrostek. — Przecież życiu waszemu już żadne nie zagraża niebezpieczeństwo? Nie będziecie kaleką dla jednej kuli...

Obejrzała się dokoła.

Izba, w której leżał rotmistrz, bardzo skromna, pobielona, z małemi okienkami, miała jednak tak bo-

gate przybory kobierców, opon jedwabnych, naczyń srebrnych, które Szczypior posprowadzał mimo jego woli, iż cale pańsko wyglądała.

— Mieścicie się w takiej lichej komorze — dorziła—gdy ja w moim dworze byłabym wam chętnie dała najlepsze komnaty i daleko wygodniejsze pomieszczenie! Mam do was żal wielki.

— Ależ się nie godziło, choćby rannemu—rzekł rotmistrz — najeżdżać dom wdowi i odstraszać waszych przyjaciół.

— Ja lepszych od was i droższych mi nie mam!— grzecznie odstrzeliwała wdowa. I tak poczęła się wesoła rozmowa, która bawiła rotmistrza samą lekkością swoją, ale do niej nie przywiązywał wagi. Zdawało mu się bowiem, iż zadość grzeczności uczyniwszy piękna Ewunia, odwiedziwszy mężowskiego przyjaciela, łatwo i prędko o nim zapomni.

Tymczasem stało się inaczej; trzeciego dnia potem pukała Borzkowska znowu do drzwi i ze Szczypiorem się kłóciła, że jej do Bajbuzy puszczać nie chciał.

— Ale bo waszmość, z przeproszeniem, gbur jesteś—wołała na głos tak, aby ją rotmistrz z trzeciej izby mógł posłyszeć — jakże można niewieście wzbraniać wnijścia. Ja jestem dawną znajomą Bajbuzy, mąż mój był jego przyjacielem. Chcę go nawiedzać i pielęgnować w chorobie, a nie dać mu się nudzić.

Tak znowu szturmem wziąwszy komnatę Bajbuzy, weszła już jakby do domu, zajęła miejsce, a po przywitaniu jak z rogu obfitości zaczęła sypać wiadomościami, gdyż stosunki mając nader rozgałęzione, wiedziała wszystko, co się działo, kłamało, zamierzało u dworu i *vox publica* dla niej nie miała nic skrytego.

Płoche to było szczebiotanie, ale przychodziło po długich dniach ciszy i jednostajnego spoczynku, więc prawie było pożądanem Bajbuzie. Słuchał go uśmie-

chając się, a nawzajem wdowa wszystko co rotmistrz jej mówił, z wielką, natężoną przyjmowała uwagą i poszanowaniem.

Wprędce bardzo zapanowała i nad Szczypiorem, który dobro i prostodusznie widział w niej poczciwe, litościwe kobiecisko. Wśliznęła się więc tak nieznacznie w życie Bajbuzy, iż wszyscy w końcu mówiąc o nim, wspominali o niej i wzajemnie. A chociaż w chorobie samej, gdy najcięższa była, piękna Ewunia wcale nie pielęgnowała rannego, nazywało się teraz powszechnie, że ona się dla niego poświęciła.

Ani mogło postać w głowie rotmistrzowi, ażeby ten stosunek miał jakie znaczenie i wagę.

Piękna wdowa sama opowiadała o tylu swatających się do jej ręki, iż można się było spodziewać zamążpójścia prędkiego, a Bajbuza śmiejąc się, mówił Szczypiorowi, że oto drugi może raz dla niej dziewosłębem będzie.

Raz się przekonawszy, że szczebiotania jej słucha chętnie rotmistrz i że ona go bawi, ze szczególną troskliwością się poczęła wysilać na to, aby świeżuteńkie mu i najpewniejsze przynosić wieści.

Miał je i z innych źródeł Bajbuza, godziły się one wszystkie i potwierdzały, lecz w ogóle pocieszającemi nie były.

On, jak wielka bardzo część przyjaciół hetmana rachował na to, iż Zamojski ster rządów przy młodym królu obejmie. Na to jednak zaradził wcześnie dawny przyjaciel hetmana, teraz pokryjomu przeciwnik, marszałek Opaliński.

Starał się młodemu królowi odmalować go, jako człowieka nienasyconej ambicyi, już posiadającego taką potęgę w kraju, iż zagrażał władzy monarchy. Malowano mu jaką miał przewagę nad Batorym, a samo nawet postępowanie i zwycięztwo, odniesione w czasie bezkrólewia, dowodziło czem był Zamojski.

Młody Zygmunt dość miał dumy, aby narzędziem

w ręku takiego wszechwładnego magnata być nie chciał.

Ztąd zimne naprzód przyjęcie przez króla, milczenie jego, usuwanie się od hetmana, okazywane mu niedowierzanie i niewdzięczność.

Ze swojej strony Zamojski czuł się i dosyć silnym i czystym w sumieniu, aby się nie płaszczyć, stanął jakby wyzwany do boju. Zamiast pierwszego doradcy króla, był obrońcą praw narodu u niego. Stosunek się zaostrzył.

Piękna wdowa wiedziała najmniejsze szczegóły o każdem posłuchaniu, jak gdyby na nie patrzała, a powtarzała słowa króla, naśladowała poważny i uroczysty głos Zamojskiego. Minka jej układała się inaczej, gdy przedstawiała Leśniowolskiego moderującego zbyt ostre sądy i mitygującego p. marszałka Opalińskiego.

Wszystko to potwierdzało się tak dowodnie, iż Bajbuza o prawdziwości doniesień wątpić nie mógł, a bolał go ten stan rzeczy, jako zapowiedź przyszłości groźnej.

Naostatek nie omieszkała Ewunia pod pieczęcią największej tajemnicy donieść Bajbuzie, iż młody król z uprzedzającą grzecznością, nadskakiwaniem był dla więźnia z pod Byczyny, którego hetman w Krasnymstawie trzymał. Na dworze króla żywiono, jak ona utrzymywała, jak największe dla rakuzkiego domu współczucie. Szeptano już, że Zygmunt skorzysta ze zbliżenia się, aby przefrymarczyć koronę, a razem pozbyć się siostry.

Koronę pewnie przyjętoby ochotnie, gdyby Zygmunt nią miał prawo rozporządzać, ale Anny uparcie trwającej przy swych przekonaniach religijnych, żaden arcyksiąże nie mógł wziąć za żonę.

Projekt ten, chociaż niby trzymany w tajemnicy, szlachta sobie z oburzeniem powtarzała. Król zamiast zyskiwać serca, odstręczał je od siebie. Wszystko to niecierpliwiło, zrażało, zniechęcało rotmistrza, który

stanowczo zapowiadał Szczypiorowi, że kopijników rozpuści i nazad do Nadstyrza powróci. Tymczasem tylko myśleć o tem jeszcze nie można, bo rana nie pozwalała.

Nie dała też ona Bajbuzie ani się znajdować, ani widzieć zdala nawet obrzędów pogrzebowych króla Stefana, na które królowa wdowa zjechała.

Wiedziano na dworze o tem, że młody pan wyjechawszy naprzeciw przybywającej ciotki, pozdrowiwszy ją u bram miasta, już wyprzedzając chciał się puścić z powrotem na zamek, gdy poważna jagiellonka dbała o swe dostojeństwo, powiedzieć mu poleciła, iż powinien u jej kolebki jechać, bo to się przynajmniej należało.

Znajdowali to wszyscy słusznem, iż się o swe dostojeństwo upominała.

Razem z królową, czego się niebardzo spodziewał Bajbuza, przyjechała księżna. Dowiedział się o tem późno i natychmiast Szczypiora posłał z pozdrowieniem do niej, dowiadując się, czyli nie miała co do rozkazania.

Lecz chorąży trafił snadź na uprzedzoną już księżnę, której doniesiono usłużnie, iż Bajbuza był rozmiłowany w Borzkowskiej, która go niemal codzień odwiedzała, i z nią go już żeniono. Przyjęła więc chorążego bardzo zimno, dziękując sąsiadowi za pamięć o niej. Nie wspomniała wcale o tem co tu słyszała, lecz tak się pokazała zmienną Szczypiorowi, iż był tem smutnie uderzony. A że około dworu słuchy chodziły razem, jakoby Kostka swych zalotów nie poprzestawał, a wawet aż tu za księżną przyciągnął, połączył to w jedno Szczypior i odniósł Bajbuzie, utyskując, że go bardzo chłodno przyjęto, a powodem temu nie co innego być miało, tylko staranie i zabiegi Kostki, pomyślnym uwieńczone skutkiem.

Bajbuza słuchając zarumienił się mocno, zaciął usta, ale natychmiast przybrał twarz wesołą.

— Cóż ty mi to tak żałobnym tonem zwiastu-

jesz?—rzekł do przyjaciela. — Cieszyć się trzeba, że jej Pan Bóg dał szczęście po myśli, jeżeli tylko to małżeństwo szczęśliwem nazwać można.

— Ja bo czego innego się spodziewałem — zamruczał Szczypior.—Niewiasta jest piękna, stateczna, serce do was miała, wyście też ją miłowali, bo, choćbyście się zapierali, jam tego pewien, byłem więc pewnym, że się pobierzecie!

— Patrzże ty na mnie—odezwał się Bajbuza—czy ja do małżeństwa stworzony jestem, albo w niewieście sentyment obudzić mogę. Starym ciurą jestem, a gorzej niż to jeszcze na pół klerykiem, co jeśli nie na siodle harcuje, to nad papierami oczy i głowę psowa. Nie mam do małżeństwa przymiotów, a raczej na żołnierza lub mnicha... jedno z dwojga. Dlatego, gdybym nawet się rozmiłował w kobiecie, nie będąc pewien, że jej szczęście dać mogę, po rękę nigdy nie sięgnę.

— Trochę mnie tem uspokoiliście — rozśmiał się Szczypior — bo, przyznaję się wam, obawiałem się, aby ta utrapiona szczebiotka Ewunia nie opanowała was i nie zaprowadziła do ołtarza.

Bajbuza parsknął śmiechem głośnym,

— Tak-li to ludzi znasz, mój poczciwy Szczypiorze? — zapytał. — Prawda, że Borzkowska bardzo natrętną jest i zalotną, ale tak samo ze mną jak z drugimi, nic to nie dowodzi i do niczego nie doprowadzi.

Naostatek długo obiecywano uzdrowienie, przychodzące tak powoli, ziściło się i rotmistrz wstał, chodził, a odziewać się zaczął, obiecując sobie wkrótce odzyskać swobodę, by użyć jej natychmiast i do Nadstyrza powrócić.

Cały ten przebieg wypadków, którego był czynnym świadkiem od pierwszych starań o wybór Zygmunta, aż do jego przyjazdu do Polski czynności Zamojskiego, stosunki stronnictw, obroty ludzi, gorzkie pozostawiły mu wspomnienia, przykre i bolesne wrażenie, upakarzające o charakterach pojęcie.

Bajbuza, który z gorącością taką rwał się do czynu i uważał sobie za obowiązek poświęcać się dla dobra publicznego, widział teraz taki zamęt wyobrażeń, taką różność zdania, w samym zaś Zamojskim tylekroć wahanie się, a niekiedy i pobudki ambicyi własnej, że tem mocniej o sobie zwątpił, i o tem czyby podołał innej sprawie, krom rąbania i rozpraszania nieprzyjaciela!

Wcale inaczej wystawiał sobie zadanie życia swego. Ostygł teraz i zwątpił.

Szczypior widział tylko jedno, iż cierpiał i nieswój był, ale bardzo poziomo przypisywał to babom i tłumaczył Kalińskiemu.

— Niema na świecie nic zgubniejszego jak gdy człowiek między podwiki się wda. Żeby jak rozumnym i silnym był, nie przymierzając jak nasz rotmistrz, nie obroni się, opłączą go. Naprzód się wieszał przy księżnie, no, niechby tam jeszcze... teraz go bodaj opanowała ta Ewusia, znajomość jakaś z dawnych czasów, a ta ma takie ostre szponki, że jak pochwyci, nie wypuści. On jej nie puści, a jak się z nią ożeni, to przepadł. Będzie najnieszczęśliwszym, zamęczy się i zatruje.

Kaliński nie śmiał powadze Szczypiora się sprzeciwiać.

— Toby go może corychlej ztąd z Krakowa wywieźć, gdy już leków, aptek i doktora nie potrzebuje. Ewusia ta przecie nie pojedzie za nim.

— Wywieźć? — podchwycił Szczypior. — Tego ani ja, ani się nikt podjąć nie może, bo ona ma swą wolę upartą, której się nie zrzeka, chyba na korzyść niewiast.

— Kaliński dowodził, że Kostka chociaż za księżną gonił i głowę postradał, ale ona o nim nie myślała, a rodzina go zawsze do Dulskiej podskarbianki ciągnęła dla wiana.

Po przybyciu Kalińskiego, który przy królewnej

stale był a dla rotmistrza tajemnic nie miał, przybyło nowe źródło informacyi o młodym królu.

Bajbuza z niezwykłą sobie gorączkową ciekawością o niego się dowiadywał jak stoi u narodu, czy sobie na miłość u kogo zarobił, czem się zajmuje, kim otacza? Wszystkich szczegółów o tem dostarczał Kaliński, który codziennie na życie młodego pana patrzał.

— Milczący jest — mówił — na oko poważny, szczególniej gdy wie, że na niego ludzie patrzą, ale gdy się zamknie w kółku poufalszem, rad się ladaczem zabawia. Widywano go w dziedzińcach w piłkę grającego z księdzem Kapustą.

Piłkę tę, a raczej kręgle, ktoś nieszczęśliwie podpatrzył, wieść o nich szeroko się po świecie rozbiegła; miano to za ogromną zbrodnię, że majestatu swojego nie szanował.

Mówiono dalej, że ze złotnikiem dworskim pracował około rzemiosła, rąk królewskich niegodnego, że z malarzem holendrem malował, że z kimś znowu alchemią się i tygielkami zabawiał, a naostatek nawet karty, karty na stole u niego widziano!

Wszystkie te rozrywki, dowodzące, że się okrutnie nudził i usiłował czemś zająć, niemal mu poczytywano za zbrodnie.

Dalej szło, że się samymi Jezuitami otaczał, ale pomiędzy tymi występowała piękna postać księdza Skargi, który właśnie był kaznodzieją dworu mianowany.

Największym zaś zarzutem i powodem niechęci było, że król miał wielką cześć dla rakuzkiego domu i dla niego sympatyą.

Przewidywano już, że będzie sobie miał za największy zaszczyt i szczęście z domem tym się połączyć, którego w Polsce się tak obawiano.

Zamojski obchodził się też ze swym więźniem Maksymilianem ze względnością największą. Dawano mu wszelką mozliwą swobodę na krasnostawskim

zamku, ale o niewiele chodziło, by korzystając z niej nie uszedł.

Spisek już był ułożony. Miał się spuścić z murów po sznurze i z nocy korzystając biedz do granicy, nie podpisawszy układów i nie zabezpieczywszy Polsce, że się jej zrzecze a nadal niepokoić nie będzie. Szczęście w czas doszło to do uszów Zamojskiego, który straże podwoić i czujność powiększyć nakazał, tak, że ucieczka się stała niepodobieństwem.

Hetman wolność przywracając więźniowi wojennemu, chciał z tego dla rzeczypospolitej wyciągnąć korzyści. Mówiono, że król nierównie się powolniejszym gotów był okazać.

Już naówczas przewidywano, że nieprzyjaciel i przeciwnik Zygmunta, dom rakuzki, wkrótce zapewne stanie się jego sprzymierzeńcem.

Nie spuszczano z oka w Wiedniu nigdy raz usnutego planu, któremu owo sławne *Tu Felix Austria — nube*, służyło za podstawę. Małżeństwa mogły drogę utorować do spadku.

Szlachta, co się tak opierała zażarcie rakuzkiemu panowaniu, widziała się zawiedzioną i oszukaną, bo już, już o małżeństwie przebąkiwano. Nie wiedziano tylko, czy sam król miał jaką arcyksiężniczkę poślubić, czy siostrę za arcyksiążęcia wydać.

Ale siostry tej obawiali się wszyscy, nikt jej nie chciał.

Ze zgrozą szeptano, że chodziła do zboru, a cała zręczność i umiejętność nawracania, którą słynęli Jezuici, o jej twardy upór niewieści się rozbiła.

W tej chwili przełomu właśnie się miała szala na stronę katolicyzmu przechylić. Dyssydenci ruszali się jeszcze i dawali znaki życia, ale siły tracili co chwila. W tych rodzinach, w których mieli najdzielniejszych obrońców i opiekunów, synowie najgorliwszych protestantów wykupywali i palili wydane przez ojców dzieła. Kościoły, poobracane na zbory, wracały duchowieństwu.

Nowa wiara nigdy nie tknąwszy ludu, wstrętliwa mu, obca, ograniczyła się magnatami, szlachtą, nielicznem mieszczaństwem, i miała na sobie piętno egzotyczne. Szerzono ją w języku pospolitym, ale pospolitą i dostępną wszystkim uczynić nie zdołano. Zwrot już był widoczny.

Zaburzenia i rozdwojenia czasu bezkrólewiów, w których po jednej stronie stali zawsze dyssydenci, po drugiej katolicy i duchowieństwo, przyczyniły się też może do zrażenia od „nowinek," których pierwszych skutkiem było sianie waśni, rozterek, nietylko w narodzie, ale nawet w rodzinach.

Rotmistrz, gdy się tylko dosyć silnym uczuł, by mógł wyjść z domu i na świat się pokazać, musiał naprzód przez należne dla niewiasty względy, odwiedzinami pięknej Ewuni za jej starania około siebie się wypłacić.

W towarzystwie Szczypiora poszedł się do jej dworku pokłonić, a trafił w taką godzinę, że mógł o życiu i obyczajach swej dobrej przyjaciółki najlepsze powziąć wyobrażenie.

Nie spodziewano się go tu wcale. Izba gościnna pełną była młodzieży. Na stole wino stało i konfekty. Dwie piękne towarzyszki dopomagały gospodyni w zabawianiu gości, a dla ludzkiego oka, stary, zgarbiony, głuchy, daleki krewny jejmości siedział w krześle i drzemał.

Swoboda i wesołość panowały tu jak największe. Wejście Bajbuzy w pierwszej chwili zmięszało nieco wdowę, przy której właśnie siedział kasztelanic... i za rękę ją trzymając, na ucho jej coś prawił. Lecz nadto była pewną siebie, aby ją cokolwiek mogło na długo rozbroić. Natychmiast zrobił kasztelanic miejsce nowo przybyłemu... towarzystwa pewna część zniknęła, w izbie ciszej się stało i poważniej, nawet głuchy staruszek się przebudził, uśmiechnął spokojnie, do nowego snu zmrużył oczy.

Bajbuza wesoło się nastroiwszy do tonu, jaki tu

znalazł, chwilę porozmawiawszy z piękną wdową, wychyliwszy malutki kubek za jej zdrowie, wprędce się wycofał.

— A co, Szczypiorze — odezwał się do niego w ulicy — nieprawdaż, wesoła wdówka.

Chorąży ramionami poruszył.

Nazajutrz Bajbuza pojechał na zamek, nie do króla, bo nie miał ani powodu, ani ochoty mu się stawić, ale do starej królowej wdowy, która tu była jeszcze.

Znalazł ją, zaprawdę, lepiej niż się spodziewał. Wszystkie swe złożywszy na Zygmuncie nadzieje, łudziła się i widziała je urzeczywistnione. Dla niej przyszłość była różową i świetną. Tłómaczyła wszystko tak, aby się pocieszyć i uspokoić mogła.

W rozmowie naturalnie znalazł się hetman. Królowa Anna od panowania Batorego miała do niego żal i urazę, nie przejednał jej tem, że dał koronę siostrzeńcowi. Zimno wyraziła się o nim, podnosząc jak sowicie nadaniem dwóch starostw na dziedzictwo rzeczpospolita wynagrodziła jego zasługi.

Ten dar był zarazem odprawą, miał znaczenie zapłaty długu sowitej, aby pozbyć się hetmana.

Królowa Anna wyraziła się też dając do zrozumienia, iż nowy król nowych potrzebował ludzi.

— Miłościwa pani - odezwał się rotmistrz. — Hetman dał dowody, że wcale jeszcze starym niejest. Widzieliśmy go pod Byczyną.

Od królowej, przy której księżnej nie było, Bajbuza się dopytał do swej sąsiadki, domagając, aby mógł ją pozdrowić.

Wyszła też do niego z uśmiechem nadrobionym na ustach, tak piękna, jeśli nie piękniejsza niż była, nie okazując wcale, aby żal jaki mieć mogła.

— Cieszę się—rzekła—że was zdrowym widzę, przyjaciołom waszym przyczyniliście strachu niemało.

Rotmistrz podziękował ukłonem.

— Zostajecie w Krakowie — zapytała księżna po chwilce.

— Nie — rzekł Bajbuza — powracam do Nadstyrza, zdaje mi się, żem tu już nie potrzebny. Wojna tymczasem skończona, król ubezpieczony na tronie, ludzi około siebie ma dosyć.

— Moglibyście i wy przy nim pozostać — odpowiedziała księżna—takiego rycestwa zanadto mieć nie może. Zdalibyście się t taj.

— Nie sądzę — śpiesznie — przerwał Bajbuza— jam do dworu, a dwór dla mnie nie stworzony. Osobna to umiejętność obracać się około monarchów, dworować, bronić się od zawiści, stać na straży, łaskami się nie popsuć, oziębłością nie zrazić. Ja żołnierzem jestem przedewszystkiem. Dopóki pokój, będę około mojego pracował zagona, zdrowiej mi w tamtem powietrzu.

— A wy? mościa księżno — dodał — wrócicie nam kiedy na wieś?

Zarumieniła się piękna pani i oczy spuściła.

— Nie wiem — rzekła z pewnem wahaniem, i jakby ośmielając siłą woli dokończyła.

— Królowa JMci mnie swata.

— A!—wyrwało się mimowoli z ust Bajbuzie.

— Tak jest — mówiła coraz odważniej księżna.— Królowa mnie swata. Smutno jest na całe życie samą i bez rodziny pozostać.

— A więc? — spytał Bajbuza cicho.

— Prawdopodobnie — odparła wdowa — będę musiała... Jest to już prawie postanowione.

Bajbuza nie śmiał zapytać o imię wybranego, ale księżna się sama domyśliła pytania i rzekła spokojnie.

— Królowa dla majątku życzyła mi kniazia Olelkowicza, ale wiek jego i rodzina nie były stosowne. Pan Spytek Jordan zdaje mi się...

Nie dokończyła.

Rotmistrz napróżno w pamięci szukał tego Spytka.

— Nie jest on jednym z tych możnych bardzo Spytków—dodała księżna—fortuna znaczna, ale obciążona, wdowiec, ma dzieci, ale człowiek jest miły i zdaje mi się, charakterem mojemu odpowiedniejszym.

Tak — dokończyła z uśmiechem smutnym — trzeba się zabezpieczyć od osamotniałej starości.

Bajbuza stał, słuchał, serce mu się dziwnie ściskało, budziła w nim litość, gdyż mówiła o swem przyszłem małżeństwie z jakąś rezygnacyą męczennicy raczej, niż nadzieją lepszego bytu.

Nie odpowiedział nic. Radzić, ani odradzać nie śmiał, rzecz się zdawała postanowiona, skończona.

— Dajże Boże szczęście! — rzekł w końcu po namyśle.—W. Książęca Mość wiesz, żem jej zawsze życzył jak najlepiej. Nie znam pana Spytka, ale z tego, że go W. Ks. Mość wybrała, już wiele o nim trzymam. Niech Bóg błogosławi.

Skłonił się. Księżna podniosła oczy.

— No, a wy? — zapytała — słyszałam, żeście także postanowili stan zmienić.

— Ja? ja? — oburzony podchwycił Bajbuza—któż to tak niedorzeczną baśń mógł spleść W. Ks Mości. Ja?

Anim myślał! ani mi to w głowie! nie stworzony jestem na męża i zawsze to powtarzam, żołnierzem mi być lub mnichem.

— Jakto? — poruszona niezmiernie i nie tając się ze zdziwieniem podchwyciła wdowa.—Nie prawdą jest, że myślicie się żenić z wdową Ewą Borzkowską, która was w chorobie pielęgnowała i nie wychodziła od was?

Bajbuza ramionami poruszył.

— Ewunię Borzkowską — rzekł — prowadziłem do ołtarza, gdy szła za nieboszczyka Jeremiego, dawna to moja znajoma, ale płocha jest, młoda i jam nigdy o niej nie myślał!

Widocznie zmięszała się księżna, a Bajbuza nie chcąc przedłużać rozmowy zakończył.

— Niech Bóg błogosławi! Wracam do Nadstyrza. Jeśli mi co macie do polecenia, rad służę.

W milczeniu skłoniła mu się tylko księżna, której twarz okrywał rumieniec, a w oczach dwie brylantowe łzy świeciły, i nie odpowiedziała już nic.

Zadumany powrócił rotmistrz do dworku.

— Szczypior! — zawołał wchodząc we wrota— już my tu nie mamy co robić. Żywo wydawaj rozkazy, niech wozy smarują, konie kują i sakwy wiążą... jedziemy do Nadstyrza. Tęskno mi za wsią moją...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

MUZEUM
JIK
ROMANISTYKI
326